

TYGODNIK  
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXXII ● NR 51 ● 17 XII 1989 r.

CENA 250 zł



# GŁOS

# NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

Co jest, a czego nie ma w Raporcie? ● Dzień powszedni węgierskiej nauczycielki ● Powtórka z Fredry, czyli... jak prezes z inspektorem ● Co może komisja dyscyplinarna?

INDEKS-35923

PL ISSN-0017-1263



Czas choinkowych zakupów tuż, tuż...

Fot. M. Suchecki

## NA WSI WESELEJ, ALE ...

WOJCIECH SIERAKOWSKI

# JAK DŁUGO?

Anna Mieszkowska zawsze chciała pracować na wsi. Pochodzi ze wsi, nigdy nie wyobrażała sobie życia i pracy w mieście. Dziwne, ale prawdziwe. Jednakże do Nuny, wsi na bliższym Warszawie krańcu województwa ciechanowskiego, trafiła z przypadku. Gdy w 1985 roku, po ukończeniu SN w Pułtusku szukała pracy, okazało się, że w okolicy Pułtuska i rodzinnego Głódowa jej nie ma. W końcu dotarła do inspektora w Nasielsku. Było jedno miejsce, właśnie w Nunie. Zaczęła pracować w tutejszym oddziale przedszkolnym.



## W KAZACHSTANIE W LATACH 1940-46 (2)

JÓZEFA LEWKOWICZ

# BURANY I LEPIOSZKA

W Pawłodarze, nad Irtyszem, czekały na nas ciężarówki. Podjeżdżały do wagonów i kolejno zabierały nas razem z tobołami. Wylądowano nas na obszernym placu ogrodzonym wysokim, z grubych desek płotem. Rozłożyliśmy swoje toboły na piasku i tam zaczął się nowy etap naszego życia.

Były to ostatnie dni kwietnia. Noce były bardzo chłodne, a w dzień mocno grzało słońce. My — bez wody z resztkami suchego chleba... Nikt nie umiał czy nie chciał nam powiedzieć, jak długo będziemy grzęźli w tym piasku.

Po kilku męczących dniach i nocach przyszedł rozkaz przewiezienia nas za Irtysz. Był to następny koszmar. Ładowano nas do ciężarówek. Siedzieliśmy wysoko na swoich tobołkach, które wypełniały skrzynie po brzegi i gdy z takiej wysokości i ze stromego, piaszczystego brzegu rzeki zjeżdżaliśmy na prom, który — załadowany ciężarówkami, końmi, autami — zagłębiał się w burzliwe fale Irtysza, zdawało się nam, że prom nie wytrzyma ciężaru, a nas po to tu przywieźli, aby potopić. Zegnaliśmy się i polecali opatrności Bożej. Dzieci płakały i kurczowo trzymały się matek. Na promie pełno było brodatych, przesiąkniętych machorką Kozaków. Ubrani w tak zwane małachaje futrzane na głowach i strzępy kozuchów na grzbie-

tach, poządlwym okiem patrzyli na polskie kobiety, miaśkali językami i powtarzali „dżaksy, bielij i dżyrny”. Potem, gdy wśród nich musiałymy żyć i razem z nimi pracować, dowiedzieliśmy się, co znaczą te słowa — ładne, białe, tłuste. Ich kobiety były chude, niedożywione, bez piersi (bo je od wczesnej młodości uciskały opaskami, taki był zwyczaj).

POBYT NAD IRTYSZEM

Rozpoczął się maj. Dni były upalne, noce jeszcze chłodne. Na brak wody nikt się już nie skarżał, chociaż rzeka była trudno dostępna, brudna, a brzeg miała urwisty i wysoki. W nocy nikt z dorosłych nie układał się do snu. Opatulano tylko dzieci i czuвано, aby nie marzły. Kto miał jeszcze trochę siły i zdrowsze nogi, chodził, biegał, aby ratować się od chłodu. Rano — niewyspani i zziębnięci — zobaczyliśmy z przerażeniem, że poziom wody w rzece podniósł się na tyle, że zwłoki staruszki z trudem zagrzebane rekami poprzedniego dnia, znalazły się na powierzchni... Głębokiego dołu nie było czym







CD ZE STR. 1

## JAK DŁUGO?

Kiedy pierwszy raz zobaczyła tę starą szkołę, z piecami w klasach, ubikacją w podwórzu, deskami zamiast parkietu, skójarzyło się do niej z Siłaczką. Dziwne uczucie, bo przecież wieś nie była jej obca. Trzy lata mieszkała na stacji u gospodarzy. Pierwszego dnia, gdy została sama w „swoim” pokoju, popłakała się. Drugiego dnia także. Gdyby nie serdeczność gospodarzy, którzy, jak mówi, potraktowali ją jak swoją córkę, być może uciekłaby z Nuny. Tak jak kilka lat temu uciekły stąd dwie młode dziewczyny, mające dość mieszkania na prawie szkolnym strychu. Co więc zatrzymało Annę? Może właśnie życzliwość obcych ludzi, może babski upór, że się jednak nie da? Dziś, po pięciu latach od tamtej jesieni, wspomina to wszystko z pewnym sentymentem. Tym bardziej że teraz już mężatka i matka mieszka w nowym Domu Nauczyciela.

Nareszcie na swoim. Służbowym ale swoim. Ten dom postawiła wieś i gmina. Ciepło, przytulnie. Mąż Anny ma dziś dyżur we wspólnej kotłowni. Tak się mieszkający tu nauczyciele umówili, że raz na cztery dni kto inny podrzuci do wspólnego pieca. Czy Anna Mieszkowska czuje się w tej wsi już tak naprawdę „swoją”? Mówiąc prawdę, na to chyba za wcześnie. Owszem, z ludźmi na drodze porozmawia, z dziećmi po lekcjach pożartuje ale to i całe jej kontakty ze środowiskiem. Jeszcze nie wrosła w tę wieś.

★

Bożena Gąsiorowska, dyrektor szkoły, wraz z mężem Kazimierzem pracują w Nunie siedem lat. Przedtem przez trzy lata pracowali w szkole w sąsiednim Zabiczynie. Ona — po Uniwersytecie Warszawskim, on — absolwent SGGW. Do Zabiczyna, jak mówią, rzucił ich los. Kazimierz miał obiecane miejsce w Wyższej Szkole Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach, ale nie wyszło. Kiedy zaczęli więc szukać pracy został tylko Zabiczyn. I tak w nim uknęli. Mówiąc prawdę, wcale wówczas nie byli przygotowani na to, że będą wiejskimi nauczycielami. Tak się złożyło. I zostało. Może szczęśliwie, mówi pani Bożena. Bo człowiek gdy bardzo młody-głupi, wciąż go coś gna, każe szukać nieznanego. Dopiero później przychodzi refleksja. Za może lepiej właśnie tam, skąd

do rodzinnego gniazda najbliższej? No a z Nuny w rodzinne strony pani Bożeny tylko 20 kilometrów. Widać coś w tym jest, że tego, który na wsi się wychował, zawsze na tę wieś ciągnie.

Pierwszy okres pracy w Nunie, to codzienne dojazdy z Zabiczyna. Potem dostali mieszkanie w budynku szkolnym. Było już lepiej, bo na miejscu. Wreszcie przeprowadzili się do Domu Nauczyciela. Dwa pokoje z kuchnią, wanna, kanalizacja, kaloryfery. Być może dla tych z miasta to nie takiego, ale na wsi to „coś”. Szczególnie, gdy ma się za sobą lata biegania z szufelką i dokładania do pieców, sprzątania węglowego pyłu. Nie mówiąc już o bieganiu „za stodołę”, WC i CO — głupie rzeczy, a jak mogą cieszyć. Nie mówiąc już o stałej temperaturze w całym mieszkaniu.

Danuta i Tomasz Domżałowic mają bodaj najdłuższą staż pracy w nuńskiej szkole. Osiem lat, od początku w nauczycielstwie. Pan Tomasz ma dyplom SGPiS, pani Danuta SWP w Pułtuskach. Poznali się właśnie w Nunie, ona miała tu praktyki, on od pół roku uczył. Poznali się i pobrali. Tomasz Domżała też nie przewidywał, że będzie nauczycielem. Zaczynał w budownictwie, był zaopatrzeniowcem w kombinacie w Nowym Dworcu. Może i nie byłoby mu tak źle, gdyby nie to, że widział, iż pętał po zawodowce, rozpoczynający dopiero pracę, nie taki znow specjalista, dostawał od razu do ręki dwa razy tyle, co on po „wyższych studiach. Więc Tomasz Domżała poczęło to coraz bardziej wkurzać. Zaczął się rozglądać za inną pracę. Wuj mieszkający właśnie w Nunie doradził — co? Jedziesz Tomek po obcych pętał, mieszkać u nas, pracuj w naszej szkole. Dziś, nie żałuje tamtej decyzji.

Kiedy pobrali się z Danutą zamieszkali u wujka. Nawet było coś w tym romantycznego: dwa kilometry razem do szkoły, dwa z powrotem. Kiedy pobudowany został ten dom, dostali dwa pokoje. Oni plus dwoje dzieci mieszkają nad dyrektorstwem.

★

Maria Fabisiak jest stąd, z Nuny. Do tej szkoły chodziła jako dziecko, z rodzicami mieszkała w drugim końcu wsi. Po szkole średniej poszła do biura. Nudno było jak diabli. Gdyby wyjechała do miasta na stałe — też w perspektywie byłoby tylko to biuro. Więc wybrała szkołę. Na miejscu. Pracuje już ósmy rok, skończyła roczny kurs pedagogiczny, teraz uczy się w SN. Panna, ale jak mówi dyrektor Gąsiorowska — już się ciało pedagogiczne zakreśli, żeby dziewczynę za mąż dobrze wydać.

Maria, jak wszyscy od niedawna mieszka pod wspólnym dachem w Domu Nauczyciela.

Najmłodszy z tego grona, Jerzy Klimkiewicz pracuje w Nunie dopiero od października. Mieszka na stacji, u tych samych gospodarzy, u których poprzednio była Anna Mieszkowska. Z wykształcenia jest nauczycielem praktycznej nauki zawodu. Ale w swoim fachu pracy nie znalazł. Ani w Ciechanowie, skąd pochodzi, ani w okolicy. Kolejny przypadek rzucił młodego człowieka do Nuny. Tu bowiem miejsce było. Po dwóch miesiącach w wsi pan Jerzy nadal czuje się tu obco. Co prawda wieś jako taka nie jest mu nieznaną, ma rodzinę na wsi ale... U gospodarzy ma pokój, kanapę, stół, dwa krzesła, węglową kuchnię. Zwyczajnie, po wiejsku. Ma też gościnność i sympatię. Ale co najważniejsze — ma węgiel! Wystał go w kolejce, od trzeciej w nocy. W GS sprzedawali tylko po tonie, jemu udało się kupić dwie. Tylko dzięki temu, że stojące razem z nim kobiety ze wsi zaświadczyły, że jest ich nauczycielem. Jak długo Jerzy Klimkiewicz zagrzeje miejsce w Nunie — nie wiadomo. Ma angaż na rok ale na styczeń kartę powołania do wojska. Chciałby odczytać tę służbę, bo od lutego Politechnika Warszawska po raz pierwszy uruchamia trzyletnie zaoczne studia magisterskie. Próbuje go więc wyreklamować inspektor oświaty, popiera dyrektor szkoły, ale czy wojsko się ugnie?

★

W nowym Domu Nauczyciela ciepłutko, choć za oknem piętnaście stopni mrozu gęź w twarz. Tylko na stacji u Jerzego Klimkiewicza jeszcze chłodno. No cóż, musi się młody nauczyciel nauczyć tak palić w kuchni, by i kolacja była gorąca i w pokoju przytulnie. W taki wieczór nie strach iść przez wieś, bo wszystkie gospodarskie kundły grzeją cegny w budach. Za oknem ciemnica, mróz a tu, parująca herbata, ciasteczka, familiarnie. Dobrze jest więc chyba na tej wsi...?

A pewnie, że dobrze. Gdy biło nie wyciąga nóg z butów, a pekaś zatrzyma się na przystanku a nie wysadzi ludzi dwieście metrów za, mignie światłem i tyle go widać. Bardzo dobrze, gdy uda się kupić świeży chleb, a wręcz wysmienicie kiedy w wiejskim sklepiku upłuje się kawałek sera. Tomasz Domżała we wrześniu w „spółdzielni” trafił na dostawę białego. Ponieważ był pierwszy, kupił kilogram, następny za nim wzięł dwa kilo. I już było po serze. O złotym nie ma co marzyć. Dob-

rze jest gdy z miasta przywiezie się zaopatrzenie na cały tydzień. Albo kiedy uprawy na nauczycielskich działkach udadzą się nad wyraz obficie. Lub, gdy raz w miesiącu przyjedzie do wsi kino objazdowe i obejrzy sobie człowiek takie na przykład „Porwanie w Tuluuristanie” albo dajmy na to „Gesiarka Maciusia”

Mieszkowscy w kinie byli ostatnio bodajże za czasów barzeceńskich. O teatrze już zapomnieli. Gąsiorowscy kino w Nasielsku „zaliczyli” dwa lata temu. Domżałowic ostatnio w „Sali Kongresowej” obejrżeli występy dziecięcego zespołu „Varsowia”. Maria Fabisiak w czasie wakacji była w operetce. Więc jeśli idzie o sprawy kultury czują się nieco „do tyłu”. Nie chce im się bywać? Nie w tym rzecz. Im po prostu nie chce się nocować na warszawskich dworcach. Bo ten, kto nie ma rodziny w stolicy, nie ma po co wybierać się na takie wycieczki. Owszem, wyjechać ze wsi po południu można, ale wrócić nie ma czym. Co prawda są jeszcze samochody. Jeśli jest benzyna. Albo ktoś do opieki nad dziećmi. Więc taką wyprawę do kina czy teatru planować trzeba na co najmniej dwa tygodnie naprzód. Czy można się dziwić, że w tej sytuacji po prostu się odciekiewa? Zresztą — kiedy jeździć? W tygodniu — niemożliwe, a na soboty i niedziele z reguły wyjeżdżają do rodzin.

Komunikacja — udręka każdego wiejskiego nauczyciela. Przez to dwa lata temu odeszła ze szkoły ich koleżanka mieszkająca w oddalonym o 10 kilometrów Nasielsku. Jak miała dojeżdżać do pracy skoro PKS zlikwidował jedyny dobry dla niej kurs? Przedtem miała „wspaniale” na wiejski przystanek przyjeżdżała po siódmej rano, a potem miała już tylko dwa kilometry przez wieś do szkoły. Mogła wysiąść wcześniej, wówczas było tylko około półtora kilometra, drogą przez pola. Nie ma autobusu — jest wakat. Nie ma popołudniowego kursu do Nasielska — nie ma świeżego masła, chleba, sera. To dziwne, biały ser z Nasielska można bez kłopotów kupić w odległej o pięćdziesiąt kilometrów Warszawie, a nie da się w Nunie, którą dzieli od mieczarni jedynie dziesięć kilometrów. Więc robią wszystko co można, by zmniejszyć do minimum tę niezbędną ilość kursów wieś—miasto.

Nie więc dziwnego, że o swoje nauczycielskie skrawki ziemi dbają nad wyraz troskliwie. Zawsze to swoje warzywa. Domżałowic w wuj mają kilka arów, tego roku zebrał trzy metry marchewki, metr buraków, pół metra pietruszki. Gąsiorowscy trzymają truskawki, warzywa. Fabisiakówna wszystko ma od rodziców. Mieszkowscy przywożą część zaopatrzenia od rodziców Anny. Tylko Klimkiewicz jest całkowicie na „swoim”. Jego mama i siostra są nauczycielkami, na pensji, jemu więc zostaje utrzymać się z tego, co zarobi. A że ma sporo ponadwymiarowych — póki co, nie narzeka.

★

Nauczycielskie święta — soboty, niedziele. Wyjazdy do matek, ojców, braci, sióstr. Klimkiewicz telepie się autobusem do Ciechanowa. Albo z Ciechanowa do Nuny telepie się jego narzeczona. Gąsiorowscy, Mieszkowscy, Domżałowic — też do swoich. Ewentualnie jakaś wizyta tu na wsi, u tych, których ze szkołą wiąże coś więcej niż obowiązek ich dzieci. Może właśnie dlatego, że z Nuny tak daleko do Kielc, zrezygnowała z pracy w tej wsi para kielecczan. Oboje po WSP, proponowane im mieszkanie nawet przypadło do gustu. A jednak zrezygnowali. Może dlatego, że oprócz codziennego życia, nie ma tu żadnych innych atrakcji, że do przystanku PKS są dwa kilometry? A może po prostu zajrzeli do wiejskiego sklepiku? Ostatnio była tu i młoda przedszkolanka z sąsiedniej gminy. Wolala jednak miasto niż wieś. Może też obejrzała za dużo?

★

Gdyby na wsiach były szkoły nowoczesne, mieszkania nie tylko dla nauczycieli ale może i lekarzy, weterynarzy gdyby były jakieś nieco większe skupiska ludzi młodych, mogących rozruszać to środowisko, gdyby były przedszkola dla ich dzieci — być może wieś przestałaby być straszliwym, mówią ci, którzy jeszcze stąd nie uciekli. Ale czy nie uciekną? Gąsiorowscy czekają na spółdzielnię mieszkanie w Nasielsku, Domżałowic sa w kolejce spółdzielniowej. W Nowym Dworcu, Maria Fabisiak też nie ukrywa, że jeśli, to... Czy Kazimierz Gąsiorowski nie zostałby na zawieszony? On, który mówi, że tylko na wsi czuje, że oddech normalny, kolorowy a nie szaro-betonowy świat? Czy nie zostałby Domżałowic, którzy mówią, że na wsi jeśli nauczycielowi potrzeba pomocy, przewieź wersalkę, kupiony w GS węgiel wystarczy pójść do sąsiada, poprosić o przysługę. Jeszcze nie było tak, by ci z Nuny nie pomogli. I to bez tego poniżającego przesłania „pana tak-sówkarka bagażowego” z miasta, który za ciężkie pieniądze jeszcze robi wielką łaskę. Zostałby i to chętnie. Ale nie w służbowym mieszkaniu, które kiedyś trzeba będzie wszak oddać. Więc człowiek musi się jakoś zabezpieczyć i odejść, by nie być potem przyczyną niechęci innych.

Gdyby tak można było postawić we wsi swój własny dom... Na to niestety nikt z nich nie ma szans.

WOJCIECH SIERAKOWSKI  
Fot. autora

# CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

## ABSURDALNE PODZIAŁY

Nastaly czasy twarde, czasy przemian, torowania drogi znowu do kapitalizmu. Ceni się to, co prywatne, a nie tego, co społeczne, wspólne.

W „Głosie” też to wszystko powoli znajduje swoje odbicie, jak w lustrze. Bo jakże może być inaczej? „Trzeba z żywymi naprzód iść...”

Czas przeszły nazywa się dziś okresem stalinowskim, a ludzi, którzy żyli w tym okresie, pracowali, działali itd., a dziś są najczęściej emerytami, też się potępia. Teraz dochodzi do steru nowe pokolenie, urodzone już po wojnie lub w czasie wojny. To nowe pokolenie wychowane w Polsce Ludowej w zasadzie przekreśla cały dorobek swoich ojców i pragnie pełnić życie na „nowe tory”, odwołując się jedynie do czasów przedwojennych. A więc do tych, których w ogóle nie zna z autopsji, lecz z książek, opowiadań ludzi starszych. A więc zna powierzchownie. Młodzi zapominają tylko, że to, co reprezentują sobą, zawdzięczają swoim ojcom, dziś odsądzanym od czci i wiary.

Cóż, młode pokolenie pragnie zbudować sobie i swoim dzieciom lepszą przyszłość. To całkiem normalne, zrozumiałe. Dziwi mnie jednak, że to „budowanie” nowego i lepszego niektórzy rozpoczynają od burzenia, niszczenia, negowania przeszłości. Młodzi nie potrafią dokładnie odróżnić, co było w przeszłości naprawdę złe, a co dobre. Pakować całą przeszłość powojenną do jednego worka — to po prostu nieporozumienie. Głupota i naiwność.

Zapewne ci młodzi też kiedyś przekonają się, gdy będą trochę starsi, że czasu przeszłego do jednego worka w całości pakować nie można, bo uproszczenie zawsze jest szkodliwe.

## SPOTKANIE PO LATACH

W październiku roku bieżącego przypadła 10 rocznica powołania do życia 7. nej Organizacji Nauczycielskiej, która pod konspiracyjnym kryptonimem TON wzięła na swoje barki ciężar organizowania tajnej polskiej oświaty na terenach okupowanych przez Niemcy hitlerowskie.

Zarząd Okręgowej Sekcji Emerytów w Gdańsku uznał za swój obowiązek przypomnieć i przybliżyć społeczeństwu tę wielką determinację przedwojennej kadry nauczycielskiej, która w atmosferze najwyższego zagrożenia dobrowolnie i bezinteresownie podjęła ryzyko i ciężar obrony polskich dzieci i młodzieży przed degradacją psychiczną i wynarodowieniem. Najstarsze dziś pokolenie nauczycieli — emerytów to właśnie wychowawcy i obrońcy polskiego ducha i polskiej świadomości narodowej w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce. W województwie gdańskim jest ich dziś niewielka już grupa, licząca 145 osób.

W sali gdańskiego „Conradinum” udekorowanej emblematami tajnego nauczania zebrało się gremium jubilatów w liczbie 70 osób — gośćmi ich byli przedstawiciele gdańskiego pionu oświaty i wychowania. Uczestniczył też kol. Henryk Dankowski, członek prezydium Krajowej Sekcji Emerytów, grupa młodych nauczycieli; czynnych i 9 uczniów tajnego nauczania, którzy przyjechali z różnych stron kraju, by po prawie 50 latach spotkać po raz pierwszy swoich nauczycieli z koszmarnego okresu.

Wprowadzenia w temat stanowiły dwa syntetyczne opracowane referaty: pierwszy przypominał strukturę organizacyjną TON, kierujących tajną oświatą i stworzone warunki, w jakich odbyła

się walka o polskiego ducha i o tożsamość najmłodszego pokolenia Polaków. Drugi referat to naświetlenie konspiracyjnej działalności na terenach anektowanych do Rzeszy hitlerowskiej, gdzie tajne nauczanie odbywało się w sposób niezorganizowany, a nauczyciele samorzutnie skupili wokół siebie dzieci i młodzież w warunkach ekstermalnego zagrożenia.

Najciekawszy, włączający fragment spotkania stanowiły wspomnienia jubilatów i ich byłych uczniów, którym tajne nauczanie uratowało kilka szkolnych lat. Wyrazem podziękii i trwałej pamięci były składane na ręce sędziwych już dziś wychowawców kwiaty. Jedną z koleżanek wygłosiła wierszowany utwór, w którym zawarła własne przeżycia, ocenę konspiracyjnej oświaty, ofiarną postawę jej realizatorów, podziękowanie i głęboki szacunek za tak bezinteresowną działalność, za którą wiele setek nauczycieli przypłaciło życiem. Wszyscy zgromadzeni oddali im hołd.

Na pamiątkę tego niezwykłego spotkania jubilat otrzymali dyplomy z podziękowaniem „za walkę o polskość oświaty” oraz pamiątkowe znaczki z kryptonimem ZNP-TON z datą 1939—1989. Padła również propozycja-apel, aby choć jedną szkołę w wielkim i pięknym Gdańsku nazwać naszym zbiorowym imieniem.

Gospodarzami uroczystości byli: prezes Zarządu Okręgu ZNP kol. Ryszard Kowalski, przewodnicząca Okręgowej Sekcji Emerytów Bogusława Sikorska i przewodnicząca Klubu Tajnego Nauczania kol. Janina Zwirowa. Uroczystość zakończył występ młodych artystów z Opery Bałtyckiej.

WALENTY JARECKI  
Konopnica

Dziś całej przeszłości nie można zatłoczyć jedną pieczęcią „stalinizm”, tak jak nie będzie można — być może — w przyszłości zatłoczyć dzisiejszą rzeczywistość jedną pieczęcią „genialność”, „ideal”.  
Cóż, to „nowe” trafia już powoli do szkół. Mam tu na myśli „pluralizm związkowy”, czyli ZNP, a obok „Solidarność”. Np. w „Rozmowach o związku” pt. „Jakie dziedzictwo?” („Głos” nr 48) Zofia Zybula wypowiedzi się: „Kiedy się tworzył drugi związek, niektórzy koledzy uważali, że my im będziemy w tym przeszkadzać, utrudniać. Pomylili się. Nawet, gdy ktoś chce od nas odejść — nie ma sprawy. Może dlatego nie odchodzą. Teraz wspólnie z koleżanką z „Solidarności” wypowiadamy się o problemach pracowniczych, uzgadniamy sprawy socjalne, placowe, nagrody itp. Jest po prostu zwyczajnie, normalnie”.

To bardzo dobrze i pięknie. Ale czy rzeczywiście we wszystkich szkołach tak jest? Wątpię...  
Jedno jest pewne. Kończy się kolejny rozdział naszej polskiej historii (który to już rozdział?), a rozpoczyna nowy. Zresztą, czy kończy się tylko polski rozdział? Wydarzenia w NRD, w Czechosłowacji, Bułgarii, na Węgrzech, itd. — znaczą, że chyba kończy się rozdział historii także w innych krajach.

Zmiany w naszym kraju zachodzą od góry, ale spowodowane zostały przez dół. Myślę, że te zmiany będą zachodzić nadal, zataczając coraz szersze kręgi.  
Oby tylko te przemiany były zawsze pozytywne. Na razie trudno powiedzieć, czy tak będzie. I tutaj można dojrzeć wiele błędów, nieprawidłowości, z czym trzeba otwarcie walczyć, aby nie doszło do wynaturzeń nowej władzy. Tej, która dobre intencje ma, ale co dalej?

Cóż, niektórzy nauczyciele mają to szczęście, że z jednego rozdziału historii weszli prawie bezboleśnie do nowego. Ja, niestety, nie miałem tego szczęścia, bo ja wcześniej musiałem przejść na emeryturę. Na mnie dziś patrzy się jak na sprawcę zła. Czy to nie głupota?

W czasie uroczystości akademii uczennice IV klasy wystąpiły z bogatymi w treści pre-

lekcjami na temat twórczości laureatów Nagród Nobla, między innymi Marii Skłodowskiej-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza. Uczennice klas I i II otrzymały od uczniów klas IV autografy uczonej.

W czasie uroczystej akademii uczennice IV klasy wystąpiły z bogatymi w treści pre-

lekcjami na temat twórczości laureatów Nagród Nobla, między innymi Marii Skłodowskiej-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza. Uczennice klas I i II otrzymały od uczniów klas IV autografy uczonej.

W czasie uroczystej akademii uczennice IV klasy wystąpiły z bogatymi w treści pre-

lekcjami na temat twórczości laureatów Nagród Nobla, między innymi Marii Skłodowskiej-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza. Uczennice klas I i II otrzymały od uczniów klas IV autografy uczonej.

## ŚLADEM NASZYCH KOESPONDENCJI

## OSĄDZMY SAMI

Jakie zło spotkało kol. T. Sikorę ze strony władz oświatowych gminy i województwa? Inspektor oświaty i wychowania powołał zespół do zbadania prawdziwości zarzutów postawionych przez koleżankę w liście do „Głosu Nauczycielskiego” (zamieszczonym w numerze 45 z 5 XI 1989 roku). W skład zespołu weszli: inspektor oświaty i wychowania oraz jego zastępca, prezes i sekretarz ZO ZNP, przewodniczący Sądu Koleżeńckiego, dyrektor SP, w której zainteresowana pracuje, przedstawiciel związkowy pracujący w tej szkole, polonistka, która była świadkiem rozmowy inspektora z zainteresowaną w kwietniu 1989 roku. W wymienionym składzie odbyła się rozmowa z „pokrzywdzoną” nauczycielką. Z rozmowy tej sporządzono protokół.

Wracając do faktów zawartych w liście, w oparciu o dokumenty posiadane przez Gminny Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół, odpowiadam co następuje. Do zwrotu: „nie opuściłam ani dnia pracy” — wyjaśniam: kol. T. Sikora przebywała na urlopie dla poratowania zdrowia w terminach: 20 VII 1980 — 21 XI 1980 r. — 3 miesiące; 21 XI 1980 — 21 II 1981 r. — 3 miesiące; 22 II 1981 — 21 V 1981 r. — 3 miesiące. Razem 9 miesięcy. Zwolnienia lekarskie: 20 III 1980 — 27 III 1980 r. — 6 dni; 28 III 1980 — 30 III 1980 r. — 3 dni; 9 IV 1980 r. — 17 IV 1980 r. — 9 dni; 18 IV 1980 — 2 V 1980 r. — 15 dni; 2 VI 1980 r. — 1 VII 1980 r. — 30 dni. Razem 63 dni.

Drugi zarzut — dotyczy nietypowania koleżanki do nagród i odznaczeń na szczeblu gminy. Kol. Sikora otrzymała nagrody i odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, nr leg. 730-75-96 — 1975 r.; Nagroda II stopnia MOiW — 1978 r.; Nagroda inspektora Oświaty i Wychowania — 1984 r.; Medal 40-lecia PRL — 1985 r.; nagroda dyrektora szkoły — 1987 r.

Ponadto koleżanka była typowana do nagród, których nie otrzymała: w 1986 r. do nagrody MOiW, w 1987 r. do KKOOP, w 1988 r. do nagrody MEN. Czy w obliczu przedstawionych faktów można stwierdzić, że przez władze oświatowe kol. T. Sikora była i jest niedoceniana?

W kwietniu 1989 roku inspektor oświaty i wychowania rozmawiała z nauczycielkami zgłaszającymi wolę przejścia na emeryturę z art. 83. Wszyscy mieli wątpliwości co do swych decyzji ze względu na wzmagającą się inflację. Chcieli upewnić się, czy znajdą się w szkołach możliwości zatrudnienia na pół etatu. Wszyscy emeryci taką możliwość otrzymali, łącznie z panią T. Sikorą, ale o tym fakcie koleżanka informacji nie podaje.

Zgłoszenia do pracy absolwentów zakładów kształcących nauczycieli w br. szkolnym przekroczyły możliwości zatrudnienia na terenie naszej gminy. Zgłosiło się 11 osób — mieszkańców gminy — wszyscy z ukończoną specjalnością „nauczanie po-

czątkowe”. W liczbie tej były dzieci nauczycieli i też nie było dla nich miejsca pracy w tej ani w sąsiednich gminach. Trudno się dziwić, że szukałam dla nich pracy, także w SP w Miąsowej.

Powtarzam jeszcze raz: nikogo nie zmuszałam do przejścia na emeryturę. Decyzję w tej sprawie podjęli sami nauczyciele. Pani T. Sikora złożyła podanie i wycofała je bez żadnych konsekwencji z mojej strony. Prawdą jest, że w naszej gminie są potrzebni nauczyciele, ale o specjalności język polski.

Aktualnie brakuje 4 polonistów w trzech szkołach, w których ucza tego przedmiotu niepolonisci. Koleżanka w liście nie podaje, że jedną polonistkę „pożyczamy” do szkoły w siedzibie gminy, właśnie z Miąsowej. Ja wspomagam tylko koleżankę ucząc parę godzin j. polskiego, bo jestem z wykształcenia polonistką. Czy koleżanka o tym nie wie? Zastępca inspektora jest jedynym nauczycielem przedmiotu w gminie z magisterskim wykształceniem. Pracuje kilka godzin w przedszkolu w Brzegach od 11 września 1989 roku. Kiedy panie z tej placówki odeszły na urlopy, są to sytuacje wyjątkowe i nie są to etaty, jak pisze koleżanka.

„Skąd u nas tyle zła: samolubstwa, chęć zysku, bogacenia się, wybijania — choćby to było kosztem innych” — jest napisane w liście. Którym słowem określić postępowanie koleżanki Sikory zarzucającej zło i tylko zło innym, skoro sama ubiegając się o zapomogę z funduszu zdrowotnego sfałszowała zaświadczenie ucznia i przedstawiła jako swoje? (W posiadaniu IOiW dokumenty w tej sprawie).

Jakim słowem określić sfałszowanie przez koleżankę daty z 11 września 1989 roku na 11 września 1989 roku w umowie o pracę na prowadzenie nauczania indywidualnego ucznia chorego na porażenie mózgowie? (odnośny dokument w GZEASZ).

Jak określić insynuację pod moim adresem przekazywane listownie? Nawet ustalenie wynagrodzenia dla nauczycieli w grupie powyżej 30 lat pracy, ustalonego we wrześniu ub. r. przez komisję do tego celu powołaną, koleżanka uznaje i nazywa dyskryminacją z mojej strony?

Do ocenian a czyjeś moralności to której mowa w liście) nie jestem powołana, ale najpierw trzeba jej poszukać u siebie. O innych faktach niegodnych nauczyciela nie piszę.

Czy spotkała koleżankę zło? Osądźcie sami.

PS. Pod adresem redakcji „Głosu Nauczycielskiego” — pisma o zasięgu ogólnopolskim i czytane chętnie przez nauczycieli — kieruję ubolewanie, że podaje fakty niezgodne z prawdą i nie sprawdzone. Inspektor oświaty i wychowania (związkowiec, należą do ZNP od lat 26) i przysłużyć mu obrona, szczególnie wtedy, gdy jest niesłusznie oceniany.

JANINA KOT  
Inspektor oświaty i wychowania  
GENOWEFA KUCHTA  
zastępca inspektora

### OD REDAKCJI:

Wielokrotnie już wyjaśnialiśmy, iż nie jesteśmy w stanie sprawdzić wiarygodności wszystkich listów nadchodzących do redakcji (około 100 dziennie). Po prostu nie mamy powodu nie wierzyć nauczycielom podpisanym pod nadsylną korespondencją. Tak było i w wypadku listu kol. T. Sikory.

## SZKOŁA Z TRADYCYJĄ

Liceum Ogólnokształcące w Ostrzeszowie w którym uczy się aktualnie 320 uczennice i uczniowie od listopada 1978 roku nosi imię Marii Skłodowskiej-Curie. Z tej okazji 7 listopada 1989 r. w 122 rocznicę urodzin wielkiej uczonej w auli liceum odbyła się akademii. Dyrektor Liceum mgr Zenon Krysiak wygłosił referat o okolicznościach w którym pokazał sylwetkę uczonej przypominając, iż była ona laureatką Nagrody Nobla w latach 1903 i 1911. W czasie uroczystej akademii uczennice IV klasy wystąpiły z bogatymi w treści pre-

lekcjami na temat twórczości laureatów Nagród Nobla, między innymi Marii Skłodowskiej-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Czesława Miłosza. Uczennice klas I i II otrzymały od uczniów klas IV autografy uczonej.

W czasie uroczystej akademii dyrektor Liceum w obecności zastępcy dyrektora FUM Bogdana Ogródzkiego, przewodniczącego komitetu rodzicielskiego Jana Klimka i przewodniczącej samorządu uczniowskiego Izy Baran dokonali przecięcia wstęgi otwarcia bogatej w pamiątki izby tradycji szkoły. Głównym jej twórcą był prof. Stanisław Stawski wraz z grupą uczniów. Trudno byłoby pisać o wszystkich pamiątkach, jest ich zbyt wiele. Są one pokazane w poszczególnych latach. Pokazane zdjęcia obrazują prace w szkole w latach 1920—1935, gdzie działało Liceum Seminarium Nauczycielskiego. Można zobaczyć, między innymi autograf Feliksa Nowowiejskiego twórcy Rety. Od 1 października 1948 r. rozpoczyna pracę Liceum Ogólnokształcące, gdzie w latach 1948—1970 dyrektorem Liceum był Józef Michalik, a od roku 1971 dyrektorem jest Zenon Krysiak. W dniu 13 lutego 1986 r. z ofiarności społeczeństwa i załóg zakładów pracy ufundowany został sztandar szkoły. Bogate zdjęcia historyczne izby będą uzupełniane bogatą działalnością współczesną. Na podkreślenie zasługuje fakt, że uczniowie Liceum brali udział w różnego rodzaju Olimpiadach, zdobywając zasłużone nagrody.

HENRYK PUTERZAK  
Ostrzeszów

## PO PIECZĄTKĘ DO WOJEWÓDZTWA!

Dotychczas na podstawie „Karty Nauczyciela” z 25 stycznia 1982 r. art. 73, ust. 2 Dz. U. Nr 3 poz. 191, Zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z 30 X 1982 (Dz. U. Nr 13, poz. 123) w sprawie orzekania o potrzebie powstrzymania się od pracy, w przypadku skierowania nauczyciela na leczenie sanatoryjne — wystarczyły podpisy i pieczęć przewodniczącego komisji lekarskiej. Komisje takie istniały w każdym właściwie ośrodku zdrowia i w każdej większej miejscowości. Od 1 stycznia komisje lekarskie istnieją tylko w województwie.

Aby uzyskać takie zaświadczenie, na podstawie którego dyrektor udziela urlopu

na czas leczenia sanatoryjnego — pacjent musi udać się do miasta wojewódzkiego, w moim przypadku do Olsztyna.

Uważam tego rodzaju praktyki za pozabawione sensu — jako biurokratyczne i bezadwójne z powodów błahych, wyłącznie formalnych (pacjent nie przechodzi dodatkowych badań). Trzeba jechać do odległego miasta wojewódzkiego, zmarnować cały dzień, stać w kolejkach po to tylko, aby uzyskać pieczęć na zaświadczeniu.

Jeżeli obecnie każdy lekarz może udzielić zwolnienia lekarskiego na — 180 dni, dlaczego udzielenie urlopu płatnego na dwudziestokilkudniowe leczenie w sanatorium musi komplikować życie? Dlaczego

nie jest szanowany pacjent, jego czas? Co w ogóle chciano osiągnąć przez odsyłanie nauczyciela do... województwa?

Resort zdrowia mówi, że to — MEN żąda tych podpisów.

Liczę na udzielenie mi konkretnej odpowiedzi, uzasadniającej wprowadzenie tego rodzaju bezmyślnych zarządzeń przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Miało być lepiej, mniej biurokracji, a tymczasem dzieją się jeszcze większe bzdury i nonsensy, niż kiedyś.

WIESŁAW CZERMAK — NOWINA  
Lidzbark Warmiński

# BURANY

# LEPIOSZKA

CD ZE STR. 1

wykopać. Po tym przygnębiającym obrzędzie, zdawało się nam, że na następnych etapach tej okropnej drogi może to samo spotkać każdego z nas.

Czekaliśmy nad Irtyszem długo, niepewni swego losu. Paliliśmy suchą słupową trawę, aby zagotować wodę... Było to jedyne nasze ciepłe pożywienie.

Wręczcie zaczęły pojawiać się ciężarów-ki. Nie wiadomo według jakiego porządku zabierały ludzi i dokądś wiozły. Na jednej z nich znalazłam się i ja z córką. Jechaliśmy po suchym stepie bez przerwy cały dzień, do późnej nocy. Nigdzie nie było widoków ani domów, ani drzew. To pustkowie budziło w nas lęk. Ciemno już było, gdy ciężarówka zatrzymała się i kazano nam wysiadać i zabierać swoje rzeczy, po tu będzie „miejsce żywienia” prawie dla tysiąca osób. W ciemnościach, pod nogami czułam jakąś ostrą trawę. Kierowca zapytany o wodę odpowiedział — „nie!”

Po całodziennym podróży w kurzu, bez wody byliśmy spragnieni, głodni i całkowicie wyczerpani. Dzieci płakały i prosily jeść, pić... Nieprzytomna zostawiłam córkę siedzącą na tobołkach i poszłam przed siebie w step. Nagle usłyszałam za sobą wołanie dziecka: „Mamo, wróć!” Pomyślałam sobie wtedy, że oszalałam zostawiając córkę. Zawróciwszy, chwyciłam ją w objęcia i jakoś przetrwałam do rana.

## C.E.S. CZYLI CENTRALNA ELEKTRYCZESKAJA STANCJA

Naszał pierwszy, nowy dzień naszego pobytu na C.E.S. Wstało piękne majowe słońce. Ogrzewało głodnych, dodało trochę otuchy. Ludzie nieznajomi patrzyli na siebie z ciekawością. Zaczęły się pierwsze rozmowy, pytania: skąd jesteście? za co was wywieźli? Nikt nie wiedział. Większość pochodziła z Łucka i okolic. Byli to przeważnie Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i Polacy.

Koło południa przywieźli beczkę wody. Gdyby ludzie opanowali się i spokojnie, kolejno ją brali — starczyłoby może po litrze dla każdego. Ale gdy zaczęto ją zdobywać szturmem, to więcej było rozlanej niż wypitej. Tak zaczęło się nasze bytowanie na tak zwanym C.E.S. Nie mieliśmy żadnych warunków do życia: ani co jeść, ani dachu nad głową, a tylko pod gołym niebem...

A już wzięto podzielić nas na brygady, wyznaczono brygadystów, dano łopaty, łomy i kazano kopać rowy pod przyszły „wodoprowad”. Miejsce, gdzie mieliśmy kopać rowy znajdowało się o kilka kilometrów od naszego obozowiska. Byłam tak wycieńczona po tej strasznej, długotrwałej podróży, że nie mogłam podnieść się z postania znajdującego się na ziemi. Z trudem chodziłam zgięta w połowie.

W obozie od razu znalazła się kobieta, która zgłosiła się, że umie mierzyć temperaturę, zrobili ją felczerką. Zadaniem jej było sprawdzanie i składanie raportów, ilu jest chorych w obozie i ustalenie, komu zapisać „pragul”, a czyją nieobecność w pracy usprawiedliwić. Chorzy gwałtownie przybywało. Dowożona beczką wodą, którą piliśmy, była najprawdopodobniej przyczyną szerzącej się epidemii krwawej biegunki. Bez lekarza i leków szerzyła się z zadziwiającą szybkością. Leżały całe rodziny. Władze C.E.S. widząc, że tracą robotników, a może bojąc się o własne zdrowie, zainteresowały się epidemią i ciężkie przypadki odwożono do szpitala w Majkainie. Jako ciężko chory znalazł się w szpitalu i Karasewicz. Na szczęście, wyzdrowiał i wrócił, ale bardzo wielu umarło. I tak powstał pierwszy cmentarz polski. Zmarłych chowano bez trumien, bo nie było na nie desek.

Obie z córką uratowałyśmy się od biegunki. Po tygodniu, chociaż jeszcze słaba, musiałam iść do kopania rowów. Po powrocie z roboty zdrowi mężczyźni zbudowali na stepie płytę kuchenną, która powstała z darni słupowej, ciętej w kształcie dużych cegieł. Zaraz zaczęły się kłótnie, kto ma, a kto nie ma prawa na niej gotować. Najczęściej Ukraińki okupowały płytę

przez cały dzień, nie dopuszczając do niej nikogo. Gotowały pierogi, piekły placki. Przywiezione zapasy starczały im na długo. Głodne dzieci patrzyły na to, wachły zapach pieczonych placków i polatywały się. Gdy byłam „na robocie” moja córka chciała zagotować wody, ktoś pchnął ją na rozpaloną płytę i tylko cudem uniknęła poważnego kalectwa.

Tak rozpoczęło się nasze życie i współżycie na tym pustym obcym stepie.

## BUDOWA BARAKÓW

Do obozu zaczęto zwozić materiał budowlany: dyktę, brezent i deski. Mężczyźni znający się choć trochę na robocie stolarskiej budowali z tego baraki, najpierw dla naczalstwa, a potem dla szarej ludzkiej masy. W tych barakach mieszkali ludzie nawet wtedy, kiedy w nocy przysypkiwał śnieg, a na rżesach i brwiach

Niebawem dowiedzieliśmy się od barażki praktycznych osób, że rozwinął się handel wymienny. Zaglądałam więc do swoich tobołków i zmuszona ratować życie, wymieniłam co mogłam, nawet rzeczy bardzo potrzebne, na co się dało, przede wszystkim na mąkę.

## „KIRZAWOD”

Zbliżała się zima. Na domy dla naczalstwa i na rozpoczynającą się budowę C.E.S. potrzebna była cegła. Przewieziono więc część ludzi, w tej liczbie i mnie, na tzw. kirpiczny zawod. Pewnie kiedyś robiono tam cegły, bo były jeszcze urządzenia — maszyna do wyrobu cegieł, szopy do ich suszenia i w budowie — piec do wypalania. W odległości jednego kilometra stał barak drewniany dla ludzi. Wtłoczono nas, osiem rodzin, w sumie 17 osób, do jednego pokoju, w którym była mała dwufajerkowa płyta i zapluskwione prycze. Piły naszą krew w ciemności i przy świetle. Uciekaliśmy więc z poscielą na step, aby ratować ostatnie krople krwi. Na szczęście, deszcz padał rzadko, ale gdy padał, to ulewny. Kiedyś taka ulewa zaskoczyła mnie śpiącą na stepie po nocnej zmianie. Lato tak straszliwe, że mieszkańcy baraku nie mieli odwagi pośpieszyć mi na ratunek.

W naszym pokoju, oprócz mnie i córki, mieszkali: Karasewicz z żoną i córką. Piecykowa z córką i synem, Materkowa z dwoma synami, Sitkiewiczowa z córką, Spusiowa (samotna), Jarmuszyńska z córką i Zygadłowa (też samotna). Z tej grupy największą tragedię przeżyła siedemdziesięcioletnia starszuszka, Jarmuszyńska. Pewnego mroźnego, zimowego dnia zmarła jej stosunkowo jeszcze młoda, córka, Zrozpaczona matka, nie mając żadnych środków do życia, postanowiła umrzeć. Odgrzebała mogiłę córki, weszła do dołu, siadła na skrzyni, w której spoczywało ciało córki i czekała na śmierć. Przypadkowo przechodzący ludzie, uratowali ją. Wracała z nami do Polski. Dzieliłam się z nią sucharami przygotowanymi na drogę powrotną.

ostatnie, przywiezione z Łucka, ubranie. Po takiej robocie wracaliśmy do baraku całkowicie pokryci popiołem. Mielśmy go też pełno w płucach. A w baraku — problem mycia: brak wody, mydła, a nawet, w takiej ciasnocie, miejsca na mycie. No i ciągła obecność mężczyzn... Woda podwożona była beczką. Jedno wiadro na dobę na dwie osoby — do mycia, do picia i do gotowania (jeśli było co gotować).

W czasie 40° mrozu to nawet chwaliliśmy sobie to kąpanie się w gorącym popiole. Było przyjemniej, cieplej. Bo ubrania nasze nie nadawały się na takie mrozy. Współczuliśmy serdecznie ludziom z C.E.S. których często spotykaliśmy na drodze idących do kopania tych przeklętych rowów — w śnieżyce i mrozy — po 12 km. Szli podobni raczej do widm niż do żywych ludzi. Byli poowijani w jakieś stare koce, często w szmaty — na głowach i nogach. Mieli kopacki, te rowy aż do pierwszej „wodokaczki”, oddalonej o 50 km, skąd miała popłynąć rurami woda na miejsce budującej się C.E.S.

Była to iście szyfrowa praca. Śnieżyce, tzw. burany, zasypywały wszystko, nie tylko rowy, ale i co gorsza ludzi tam pracujących. Kazachowie opowiadali nam, przerażające historie o ludziach (nawet z zaprzęgiem konnym), którzy ginęli w czasie buranu. Początkowo nie wierzyliśmy Kazachom, ale stopniowo sami, na własnej skórze, odczuliśmy jego siłę. Z czasem, po zmianach zachodzących na niebie nauczyłam się rozpoznawać, kiedy ma nadejść buran. Głęboka szarość aż do czerni z jednej strony nieba i dziwny poszum zwiastujący zbliżaniem się buranu budził w nas grozę. Ginęli wtedy ludzie idący lub wracający z pracy, ginęło wielu podróżujących. Przy słabszym mrozie śnieg walił tak gęsty siekający, że dwoje ludzi idących obok siebie, nie widziało się. W taki buran przeciągano sznur od cegielni do baraku i przy jego pomocy można było dojść do baraku. Mimo tych ostrożności zdarzały się wypadki błędzenia po stepie, czego rezultatem była śmierć.



osiadał szron. Podczas gdy jedni pracowali przy budowie baraków, inni kopali dalej rowy pod przyszły wodoprowad dla mającej tam powstać Centralnej Elektryczeskiej Stancji (C.E.S.). Ziemia była twarda, a w głębszych warstwach — skalista. Pokrawieni, nie przyzwyczajeni do tak ciężkiej pracy rękami wyrzucaliśmy na powierzchnię (z głębokości 3 metrów) ziemię. Pracowali przy tym wszyscy, bez względu na wiek i płeć. Przy słabym rozmachu wyrzucana ziemia spadała z powrotem na głowy pracujących na dole, raniąc odłamkami skał. Byłam jedną z tych, które stały nad rowem, odbierały wykopaną ziemię i odrzucały dalej. Unoszące się z głębi rowu ręce z łopatami przedstawiały widok bolesny. Zdawało mi się, że te ręce unoszące się do góry wołają ratunku, pomocy. Trudno mi było na to patrzeć, sama też miałam do krwi pocierane dłonie.

Pewnego dnia, gdy tak stałam nad rowem, a dzień był piękny i słoneczny, dojrzałam jakiś mały punkcik zbliżający się w moją stronę od obozu. Punkcik się powiększał, na pewien czas zniknął w trawie słupowej, znowu się wylaniał, białiał i widać było wyraźnie, że zbliża się do miejsca, gdzie kopaliśmy rowy. Jakież było moje zdumienie, gdy okazało się, że to idzie moje płaczące dziecko. Podbiegłam i zaniepokojona pytałam: co się stało? dlaczego płaczesz? A córka na to: Nie gniewaj się mamusi, upiekłam na płycie dwie lepioszki i niosłam ci na śniadanie, ale byłam głodna, taka głodna, że skubałam po kawałku, aż zjadłam.

Po miesiącu tej ciężkiej pracy mój zarobek wyniósł 5 rubli, nie przyjął ich. Uważałam to za kpiny i jeszcze jedno usłowo do ludzkiej ciężkiej pracy.

Opodal baraku było kilkanaście lepiarek kazachskich. W jednej z nich był magazyn — sklep, w którym wydawano nam przepisową porcję chleba (ćwierć kilograma). W naszym baraku był mały pokójeczek, w którym gotowano na obiad codziennie i niezmiennie kaszę z jedwim roztertego prosa. Choćelka tej kaszy stanowiła porcję obiadową, wydawaną przez małe okienko. Nie wiedziałam czy otrzymam kaszę, okraszoną łyżeczką oleju, mam zjeść sama, czy oddać dziecku. Najczęściej kłamałam, że nie jestem głodna i oddawałam dziecku. Zreszta nie znosiliśmy tej kaszy, ale nie było wyboru. Te porcje chleba i kaszy otrzymywaliśmy tylko wówczas, gdy pracowaliśmy na Kirzawodzie.

## W CEGIELNI

W cegielni pracowaliśmy na trzy zmiany. Praca była ciężka i brudna, wymagająca siły i specjalnego ubrania. Nie mieliśmy ani jednego, ani drugiego. Maszyna krajała mokre cegły — jednocześnie dwie. Trzeba je było szybko chwycić i podawać dalej. Inne osoby układały je na wagonetki i toczyły po szynach do szop oraz układały na półkach, aby schły. Rwały się nie tylko nasze ręce i wnętrzości, gdy wagonetka, naładowana towarem, wyskoczyła z szyn, co się często zdarzało. Trzeba ją było na nowo ustawić na szynach. Wysuszone cegły wnosiliśmy na nosidełkach (po 35 sztuk) do pieca. Tam je wypalano. Prawdziwą męką było wybieranie jeszcze gorących cegieł, przysypianych warstwą popiołu, a potem ustawianie w słupy po 200 sztuk. Nie mieliśmy rękawic, a ostre cegły raniły ręce i rwały nam

Na Kirzawodzie chodziłam do Kazachów, którzy mieli krowy, kupować mleko. Kazachowie byli gościnni. Sami nic nie mieli, ale gdy zdarzyła się okazja, częstowali nas swoim ulubionym czajem, a ci którzy mieli mleko — ajranem (słodkie gotujące się mleko zakwaszone zsiadłym). Zamożniejsi częstowali bursakami — ciastem z maki i wody bez żadnych dodatków, krojonym w trójkątki i smażonym na baranich łożu.

Bolesnym wydarzeniem dla wszystkich Polaków pracujących na Kirzawodzie było nieszczeście, jakie spotkało najmłodszego z rodziny Kolendów, Czesława. Pracował na nocnej zmianie przy maszynie, która cięła cegły. Ziemia koło maszyny była mokra i oślizgła, a zabezpieczenia nie było żadnego. Padając, chwycił się maszyny, która obciła mu prawą rękę. W Polsce był dopiero uczniem szkoły średniej. Uczył się potem pisać lewą ręką, gdyż — jak i my wszyscy — wierzył, że wróci do Polski i będzie kontynuował naukę.

Przeżyliśmy na Kirzawodzie parę pogrzebów. Zmarł Karasewicz, starszy Batuszka, córka Jarmuszyńskiej. Byliśmy świadkami, jak silny buran podniósł razem z łożkiem śpiące na dworze dziecko. Była to odmiana buranu zimowego — buran piazczysty, tak samo silny i groźny.

Zyliśmy w całkowitej nieświadomości — ani gazet, ani radia. Była „toczka”, ale zabrali, nie pozwolili słuchać. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w świecie.

c.d.n.  
JÓZEFA LEWKOWICZ

Prostujemy niniejszym, przepraszając jednocześnie zainteresowanych, błąd jaki się zakradł do poprzedniego numeru; autorka wspomnień Kł. Józefa Lewkowicz mieszka w Eku (a nie w Białym) i jej wspomnienia nadesłał Zarząd Oddziału ZNP w Eku.

# ROZMAWIAMY

Z ANTONIĄ MIKSĄ  
ZE SZKOŁY PODSTAWOWEJ W ETYEK KOŁO  
BUDAPESZTU

## DZIEŃ POWSZEDNI

— Pracuje Pani w szkole już sporo lat. Jakie jest Pani odczucie: łatwiej czy trudniej być teraz nauczycielką na Węgrzech? — I łatwiej i trudniej — zależy z jakiego punktu widzenia.

— Zapytam więc konkretnie: w jakim stopniu jest Pani dziś niezależna w szkole? Czy jako nauczycielka (geografii i rysunku) ma Pani obecnie więcej swobody niż, na przykład, przed dwoma, trzema laty?

— Jako nauczycielka geografii mam oczywiście znacznie mniej swobody niż jako ucząca rysunków, ale już dziś mogę na przykład przynieść na swą lekcję niemal każdą mapę czy książkę...

— Wszystko jedno jakiej orientacji?

— Od roku tak. Dzisiaj wyraźnie już czuję, że odetchnęłam, że mam swobodę. Jeśli na przykład w podręczniku jest napisane, że RWPG pomaga nam, Węgrom w rozwoju gospodarczym, mówię uczniom: wykreście to, bo to bzdura!

— A z jakiego punktu widzenia trudniej żyje się dziś węgierskim pedagogom?

— Podobnie, jak przedstawicielom wielu innych zawodów, bo nie wszystkim, z powodów materialnych. Nauczyciele są dziś u nas bardzo kiepsko opłacani, choćby w porównaniu z przedstawicielami inteligencji technicznej, oni zarabiają około 16 tys. forintów, my — o sześć — siedem tysięcy mniej...

— Ile więc Pani zarabia, o ile wiem pracuje Pani w szkole już 20 lat i ma wyższe wykształcenie...

— Zgadza się. Zarabiam brutto 9600 forintów (netto — sporo mniej!), składa się na to: 8250 forintów pensji zasadniczej (zależy ona od stażu i wykształcenia), 350 forintów — za wychowawstwo i 1000 forintów — za godziny nadliczbowe i zastępstwa; to jest taki całocenny ryczałt... Na szczęście — moja rodzina liczy przecież pięć osób — mąż, który przez wiele lat pracował ze mną w tej samej szkole, niedawno zmienił zawód i zarabia teraz o ładnych kilka tysięcy więcej.

— A ile wynosi Pani pensum?

— 20 godzin tygodniowo. Jakkolwiek w tym roku mam tylko i godzinę nadliczbową, w praktyce mam czasem w tygodniu i 30 lekcji, te pozostałe to zastępstwa; niezadko zdarza się i kilka w ciągu dnia... No, ale cóż — grono nauczycielskie mojej szkoły nie jest już najmłodsze, sporo koleżanek — bo oczywiście nasza rada pedagogiczna, podobnie jak i inne, składa się głównie z pań i tylko dyrektorem jest

mężczyzna — często choruje... Najgorsze jest to, że na przykład jednego dnia wypadnie mi prowadzić lekcję języka niemieckiego, drugiego — historii itp.

— I za te wszystkie zastępstwa nauczyciel otrzymuje tylko ów ryczałt, o którym Pani mówiła?

— Niestety... Sama więc pani widzi, że musimy dorabiać. Na szczęście, tuż obok, bo mieszkamy przecież na ws. mamy gospodarstwo winorośli „Hungar”, więc wraz z mężem wydzierżawiłam i ha winicy i to stanowi liczące się źródło dodatkowego zarobku. Oczywiście, musimy się porządnie przy tym napracować...

— A co na to wasze związki zawodowe? Czy jest Pani ich członkiem?

— Całe nasze grono nauczycielskie wystąpiło ze starego związku, to znaczy Związku Zawodowego Pedagogów, nie należą też — podobnie jak pozostali moi koledzy — do żadnego innego związku; nie mamy jeszcze (rozmowa odbyła się w ostatnich dniach września br.) zaufania do niektórych nowych stowarzyszeń, choćby do Węgierskiego Forum Demokratycznego. Na razie obserwujemy, jak się to wszystko rozwija, w jakim kierunku będzie zmierzać.

— A co się zmieniło w organizacjach dziecięcych i młodzieżowych w Pani szkole? Czy nadal wszyscy uczniowie są pionierami?

— U nas nadal istnieją tradycje pionierskie, do organizacji pionierskiej należą praktycznie wszyscy uczniowie, pominiwszy sporadyczne przypadki, takie jak przy należność do określonej wspólnoty religijnej czy też kara wymierzona za jakieś przewinienie.

— Czyżby to znaczyło, że młodzież klas starszych — a jak wiem, jest Pani wychowawczynią VIII klasy — niezbyt interesuje się przemianami zachodzącymi teraz w Waszym kraju? Czy nie pada obecnie na lekcjach znacznie więcej i znacznie odważniejszych pytań?

— Niewiele naszych uczniów jest zorientowanych w tym, co się w kraju dzieje. Nasza wieś Etyek, oddalona o 25 km od Budapesztu, to właściwie jego sypialnia. Tu rodzice na ogół nie dbają o swoje dzieci, są one najczęściej bardzo zaniedbane. Są też, niestety, agresywne. Sytuacja wychowawcza jest więc niełatwa.

— Czy są to tylko spostrzeżenia i doświadczenia nauczycielki, czy również matki?

— Trudno to oddzielić. Na szczęście, zad-

rem z moich trojga dzieci: nie chodzi już do szkoły podstawowej, więc nie mam takich problemów, jak niektóre moje sąsiadki. Najmłodszy syn — 16-letni Zoltan — jest uczniem szkoły zawodowej, przygotowującej do uprawy roślin ozdobnych, 18-letnia Urszula w tym roku zdała maturę, a teraz kontynuuje naukę w pomaturalnej szkole hotelarskiej i wreszcie 19-letni Balint został w tym roku (po jednorocznej służbie wojskowej) studentem I roku Wydziału Malarstwa Wyższej Szkoły Artystycznej w Budapeszcie.

— Ciekawe, które z dzieci pomaga Pani najbardziej w pracach domowych?

— Oczywiście gros pracy i obowiązków spada na mnie, ale np. większe pranie to już domena męża; dzieci też trochę pomagają, ale — jak pani widzi — zazwyczaj nie ma ich w domu...

— ...A mieszkanie obszerne i jest co sprzątać...

— Oj, jest! To mieszkanie służbowe i mieści się w domu nauczyciela, wszyscy nasi sąsiedzi to koledzy z mojej szkoły. Dawniej — jak już wcześniej wspominałam — pracowałam w niej również (ucząc matematyki) mój mąż.

— Jest więc Pani powiązana ze swą szkołą wieloma najsłodszymi niemi i zna ją doskonale. Gdyby to od Pani zależało co przede wszystkim zmieniłaby Pani w tej szkole?

— Przede wszystkim przeznaczyłabym więcej środków na dzieci uzdolnione. No i wreszcie urządziłabym pracownię plastyczną, i geograficzną, bo — jak do tej pory — nie mamy ani jednej, ani drugiej, co oczywiście nie ułatwia pracy dydaktycznej.

— A co najbardziej daje się Pani we znaki w pracy nauczycielskiej?

— Ogromne niedyscyplinowanie uczniów, brak jakiegokolwiek współpracy rodziców ze szkołą, jak już mówiłam — większość matek i ojców, skoro świt, wyjeżdża do pracy do Budapesztu, dzieci zostają więc na cały dzień bez opieki.

— A co na to wszystko szkoła?

— Prawdę mówiąc, grono pedagogiczne pozostaje bierne, nie ma u nas żadnej tradycji, która by ułatwiała nawiązywanie bliższego kontaktu pomiędzy szkołą a rodzicami.

— Na zakończenie chciałabym jeszcze Panią zapytać: o czym głównie rozmawia się ostatnio w pokoju nauczycielskim na przerwach?

— Najczęściej rozprawiamy o zbyt niskich pensjach i o tym, że jesteśmy niedoceniani. Zresztą na rozmowy nie mamy zbyt wiele czasu, każdy z nas goni za dodatkowym zarobkiem. Takie są dziś realia naszego życia. Zwróciła chyba pani uwagę na to, jaka u nas ostatnio drożyna...

Przeżywamy też bardzo intensywnie to wszystko, co dzieje się w Rumuni z naszymi rodakami. Interesuje nas to tym bardziej, że od niedawna mamy w radzie pedagogicznej dwójkę nowych kolegów (nauczycielskie małżeństwo) z Siedmiogrodu, którym — po wielu najróżniejszych przeżyciach — udało się wreszcie opuścić Rumunię. Przyjeżdżamy ich bardzo serdecznie i mamy nadzieję, że oświecą u nas naszą duszę...

F. Znamieńska  
HENRIKA WIDZIAŁEWSKA



## NASZA SZKOŁA BEZ INSPEKTORA SONDA

Po kraju krąży plotka — mamy takie sygnały w listach do redakcji — o zamiarach likwidacji inspektorów oświaty. Zrodziła się po wypowiedzi wiceminister Anny Radziwiłł w Pile, że być może bo to nie pewnego, po uchwaleniu ustaw o samorządzie terytorialnym i administracji szczebla terenowego — pozostaną trzy szczeble zarządzania szkołą: ministerstwo — kuratorium — szkoła. W związku z tym zwróciliśmy się do ludzi najbardziej kompetentnych — inspektorów oświaty — o odpowiedź na pytanie: czy szkoły mogą funkcjonować bez inspektora i czy potrzebne są zmiany w zarządzaniu oświatą na szczeblu miejsko-gminnym? A oto co powiedzieli nasi rozmówcy z woj. łomżyńskiego, gdańskiego, siedleckiego i warszawskiego.

WŁODZIMIERZ ŻELAZNY — Gdańsk:  
— Sprawne zarządzanie oświatą bez ogólna, jakim jest inspektor, byłoby możliwe w społeczeństwie utopijnym, ale w realnym, w dodatku w naszych obecnych warunkach, nie. W oświacie trzeba na co dzień rozwiązywać bardzo konkretne problemy i bardzo ważne społecznie, aby pozwolić sobie na zdalne sterowanie. A będzie ono takim, jeśli funkcje inspektorów przejmą kuratoria. Są one zbyt daleko od szkoły, możliwość kontaktów mają ograniczoną, będzie to jedynie administrowanie, pozbawione oddziaływania merytorycznego. Ale dotychczasowa struktura też jest zbyt kosztowna i mało sprawna. Nowy układ organizacyjny widzę następująco: rejony lub powiaty, w których funkcjonowałyby ośrodki specjalistyczne np. zdrowie, sadownictwo, oświata itp. Temu ośrodkowi — mógłby to być inspektor — podlegałoby całe szkolnictwo; one odpowiadałyby za szkoły, inspirowały działal-

ność opiekuńczą, wychowawczą, dydaktyczną, zajmowały się oceną i tworzeniem warunków dobrej roboty, w ich gestii leżałoby sprawa kadrowa. Natomiast odpowiedzialność za sprawy materialne przejęłyby władze gminne. Inspektoraty powiatowe mogłyby jedynie artykułować potrzeby oświaty, wynikające z polityki oświatowej państwa. Sześciu wojewódzki w tych warunkach skupiałyby wysokiej klasy fachowców i zajmował się prawidłową redakcją polityki oświatowej na swoim terenie. Jednak należy zmniejszyć liczbę województw kosztem ich wielkości.

EDWARD FRONCZAK — miasto-gmina Błonie, woj. stołeczne.

Całkiem inne spojrzenie na ten problem ma nasz naczelnik gminy, a Inne ja. On twierdzi, że nie bardzo może sobie wyobrazić pracę bezpośrednio z 13 dyrektorami szkół. I w obecnych warunkach — ma on rację. Weźmy choćby przepisy na tyle mało czytelne (i jest ich dużo), że dyrektorzy trudno sobie z tym radzą, proszą o pomoc, trzeba więc na co dzień wiele kłopotliwych spraw rozstrzygać wspólnie, być na miejscu, podejmować decyzje, a naczelnik nie jest od tego. Dyrektorem trudno będzie wszystkim podobać, żyjemy przecież w warunkach dalekich od normalnych.

W moim przekonaniu — a mówię to na podstawie wieloletniego doświadczenia pracy w oświacie na wszystkich jej szczeblach od nauczyciela poczynając — najlepszym rozwiązaniem dla sprawnego funkcjonowania szkół byłoby rejony — ma to korzyści ekonomiczne i merytoryczne. Inspektor wraz z kilkusetosobowym zespołem sprawowałby nadzór merytoryczny, sprawy materialne przeszłyby do rad narodowych, czy też w przyszłości samorządów terytorialnych. Bo dziś absurdem jest, że w gminie, mającej kilka placówek, istnieje np. oświatowa służba

remontowa. Skoro w urzędzie gminy jest wydział do spraw inwestycji, i on powinien zajmować się remontami wszystkich obiektów, także oświatowych.

Na najbliższe lata potrzebny jest szkole inspektorat oświaty, sprawujący nadzór merytoryczny.

EUGENIUSZ OLCZAK — inspektor zawiadujący oświatą rejonową z siedzibą w Siedlcach.  
— Jestem całym sercem za świeżością rozwiązań, pomysłów, za zerwaniem z ogólną kontrolą i zniewoleniem — ale na dziś i jeszcze jutro należy przyjąć styl pracy zadaniowej, nie rzucać placówek i ludzi dotąd zatrudnionych na zbyt głęboką wodę.

Na początku, gdy rejony się u nas tworzyły, byłem nie do końca przekonany, że to się uda, teraz jestem zwolennikiem takiego rozwiązania. Ma ono wiele zalet i wychodzi naprzeciw projektom bardziej nowoczesnej, demokratycznej organizacji państwa. Jest to bowiem rozwiązaniem sensowne ekonomicznie i zasadne merytorycznie. Argumentów „za” jest kilka. Zaczniemy od praktyki kadrowej. Inspektor, który w swoim rejonie ma, jak ja 15 gmin, jest w stanie dobrze sterować polityką kadrową, mam na myśli przemieszczanie specjalistów, uniknięcie koniecznego zatrudnienia osób niewykwalifikowanych, skoro możliwość przemieszczeń i planowanie w obrębie kilku gmin istnieje.

Argument drugi: inspektor oddzieleny od odpowiedzialności za sprawy materialne — to przejęty gminy — może koncentrować się na problemach merytorycznych. Mając w rejonie fachowców może inspirować pracę szkół, koncentrować się na działalności pedagogicznej, tworzyć warunki dla samokształcenia i doskonałości kadry, dla innowacji, wreszcie — sprawować nadzór, tzn. mieć ocenę tego, czy szkoły pracują dobrze. Zarwiej też organizować olimpiady, konkursy, zając się uczniami wybitnie zdolnymi itp.

Jest jeszcze inny pożytek: to możliwość organizowania spotkań, różnego rodzaju szkoleń, wystaw twórczości nauczycielskiej itp. w szerszym niż gmina, gronie. Nauczyciele bardzo sobie cenią możliwość własnych poglądów, wentylacji myśli i wymiany doświadczeń.

Korzyści ekonomiczne: w gminach mieliśmy ponad 120 inspektorów i ich zastępców. Dziś jest ich ok. 90. Jest taniej, a przy głodzie kadro — tym w szkołach — korzystniej.

Być może w przyszłości będzie m. in. na to wszystko sedować na szkoły. Dziś — mówię to na podstawie doświadczenia — szkoły i rady pe-

dagogiczne nie są przygotowane do samokontroli i samooceny. Część — może tak, ale większość — nie. Za wcześniej na to, aby działały całkowicie samodzielnie, do tego trzeba je przygotować. Nie wolno czekać, aż środowisko nas oceni, władza szkolna musi wiedzieć, jaki poziom edukacji oferuje społeczeństwu.

I jeszcze jedna ważna obserwacja z naszych siedleckich doświadczeń. Mówi się dość powszechnie, że urzędy nie przejawiają troski o materialny byt szkół, zaniedbują swoje obowiązki wobec nich. A u nas dokonuje się właśnie ten pożądaný proces zmiany świadomości ludzi, którym kiedyś stawialiśmy żądania, a teraz sami są odpowiedzialni za to, aby w szkołach było ciepło, aby dzieci miały trochę wygody, aby było ładnie i schludnie, aby dach nie przeciekał. Troszczy się o to bardziej niż kiedyś, bo to przecież ich dzieci. Przygotowują się więc ci ludzie do pracy po nowemu. Zapraszam redakcję do przyjrzenia się temu z bliska.

MIECZYSLAW BRUSZKIEWICZ — gmina Piątnica, woj. łomżyński.  
— Opowiadam się za organizacją prężniejszej oświaty. Dziś za dużo jest tzw. małych inspektoratów, np. z trzema, czterema szkołami. To marnotrawstwo pieniędzy i siły. A przy tym inspektor gminy przeciążony odpowiedzialnością za sprawy materialne szkół, remonty itp. nie ma zbyt wiele czasu, aby zająć się tym, co do niego należy — pracą pedagogiczną.

Sądzę, że w obecnych warunkach funkcjonowanie szkół bez inspektorów byłoby niemożliwe. Jeśli zostaną zdane na kontakt z kuratorium — będzie to kontakt formalny, czyli biurokracja. Potrzebne jest więc ogniwko pośrednie — rejon czy powiat — silny merytorycznie i organizacyjnie, i odpowiedzialny za działalność merytoryczną szkół sobie podległych.

Wszystko co związane z zabezpieczeniem oświacie bytu materialnego przejąć powinna rada narodowa. Mam nadzieję, że w przyszłości samorząd terytorialny zadba o swoje szkoły i nie będą one tak biedne, jak dziś.

Rozmawiała  
MARIA RYBARCZYK

## ORZĘKANIE O WINIE I KARZE JEST ZAJĘCIEM POCIĄGAJĄCYM I TRUDNYM

# WYPADEK

Dla Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli przy województwie gdańskim sprawa kolegi Ryszarda Droszcza była jasna, prosta i klarowna: spowodował wypadek drogowy, w wyniku którego człowiek stracił życie. Po czym sprawca odjechał z miejsca zdarzenia nie udzielając pomocy ofierze. Werdykt mógł być więc tylko jeden: kara dyscyplinarna najsurowsza: wydalenie z zawodu.

Dla obwinionego karą dodatkową było stwierdzenie komisji uzasadniającej wniosek iż „jego osoba ma wysoce szkodliwy wpływ na nauczycieli i środowisko w jakim przebywa”.

Przez dwadzieścia parę lat było odwrotnie. Był nauczycielem wyróżniającym się. Mając zaledwie sześćdziesiąt lat został dyrektorem pierwszej wzorcowej szkoły w Cedrach Wielkich (woj. gdańskie). Był też wizytatorem-metodykiem. Przez ostatnie pięć lat pracował w Szkole Podstawowej w Strzelinie. Jeśli za miarę sukcesów pedagogicznych przyjąć liczbę olimpijczyków (21 w olimpiadach wojewódzkich i ogólnokrajowych) to istotnie były jego udziałem.

Ten wątek zawodowy oczywiście nie może mieć większego wpływu przy orzekaniu o winie, ale też nie może być całkowicie pominięty, zwłaszcza przez „sądy resortowe”, jakimi są niewątpliwie komisje dyscyplinarne. Z całą pewnością wątek zawodowy jest brany pod uwagę w sądzie przy orzekaniu w postępowaniu karnym i jest to jedna z istotnych przesłanek w wyroku.

Orzeczenie o winie, zwłaszcza w tak skomplikowanych „stanach faktycznych”, jakimi są wypadki drogowe jest sprawą niesłychanie trudną dla profesjonalistów. W postępowaniu przygotowawczym przewija się cały tłum specjalistów, po czym dopiero prokurator sporządza akt oskarżenia i z podejrzanego — sprawca wypadku przeistacza się w oskarżonego. Po czym sprawa „wisi” na wókanach wielokrotnie. Rozpoznawana jest na kilku posiedzeniach sądu — zanim on zdecyduje się na orzeczenie wyroku (Zwracam uwagę na ten niuans; podejrzanym — oskarżonym, gdyż w komisjach dyscyplinarnych od razu mamy do czynienia z „obwinionym” — co już dostatecznie deprymuje „pod sąd”).

A jakimi środkami dysponuje komisja dyscyplinarna aby przekonać się o winie — w tym przypadku tak skomplikowanymi — aby na tej podstawie orzec o uchybieniu godności zawodu nauczyciela którego strzeże tak pilnie?

Otóż mówiąc ogólnie — nie wystarczającymi! Jedyne może powoływać świadków i wsłuchiwać się w tak zwaną opinię publiczną, która przecież wie wszystko najlepiej. A potem okazuje się, że nie wie nic lub zmieniła zdanie. Słowem — może niekiedy (nie zawsze oczywiście) bazować na plotce!

Opierając się na tych kruchych „podstawach” komisja orzekła „o winie i karze” R. Droszcza, gdy w tym czasie rozpoczyna się postępowanie karne w sądzie. Komisji jednak to nie interesuje i nie obchodzi co orzeknie sąd „profesjonalny”, mimo iż może (ale nie musi) zawiesić postępowanie do czasu wydania prawomocnego orzeczenia w postępowaniu karnym. Dlaczego nie? Karę wymierza i w ten sposób przekonuje ponad wszelką wątpliwość mieszkańców Pucka, że nauczyciel R. Droszcz to drań!

Komisja nie przyjęła do wiadomości nawet i tego, że odjechał z miejsca wypadku go to, aby sprowadzić, jak najszybciej pomoc. Oczywiście sąd profesjonalny zastanowiłby się też czy nie działał pod wpływem szoku, gdyby nawet odjechał bez wyraźnego celu. Ktokolwiek bowiem był uczestnikiem, nawet banalnego wypadku drogowego wie, że jest to wypadek porażający psychicznie.

Komisja w takie szczegóły widać dalece nie wchodziła i bez wielkiego trudu przekreśliła karierę, zasługi i życie człowieka! Tak — życie! Bo jak z takim piętnem można egzystować w środowisku?

Skazała obwinionego w tym momencie, kiedy Sąd Rejonowy, a później Sąd Wojewódzki w Gdańsku uwalniają z zarzutu oskarżonego R. Droszcza. Uzasadniając to między innymi, „...zderzenie miało miejsce po zapadnięciu zmroku, denat wbrew przepisom szedł prawą, nie lewą stroną drogi i to z daleka od krawężnika, plecami do nadjeżdżającego samochodu. Był w stanie nietrzeźwy, nie posiadał żadnego światła (latarki), nie zszedł z jezdni pomimo zbliżenia się dwóch pojazdów z przeciwnych stron — uwzględniając te okoliczności, to zachowanie pieszego należy uznać za całkowicie sprzeczne z obowiązującymi przepisami jak i rażąco niebezpieczne, doprowadzające w konsekwencji do wypadku...”

Potem także Komisja Dyscyplinarna przy Ministrze Edukacji Narodowej uwalnia R. Droszcza od winy i kary. Dzieje się to dokładnie 25 września. Minęło trochę czasu „a ze strony władz oświatowych i naszych, związkowych, najmniejszego odruchu czy reakcji” — pisze w grudniu jeden z kolegów „skazanego” R. Droszcza.

No cóż, widać sędziowanie jest rzeczą łatwą, miłą i pociągającą, a przyznawanie do błędów — smutnym obowiązkiem. Jak się jednak okazuje, nawet nie koniecznością... Ciska — to jest ten błogi stan, który koł nerwy sędziów?!

My jednak chcielibyśmy ją przerwać. I, broń Boże, nie chcemy wyjaśnień od komisji, chroni ich bowiem „immunitet sędziowski”. Ale pozostaje jeszcze urząd, przy którym działa komisja i związek broniący pracownika.

TERESA KONARSKA

## NIEPOKOJE

Lektura wzajemnej — bogatej — korespondencji wskazuje, że zaczęło się jakieś cztery lata temu od małego, zdawałoby się, skomplikowanej sprawy przydziału zapomóg zdrowotnych.

W grudniu 1985 r. prezes zarządu oddziału ZNP w S. mgr Ryszard L. wystąpił do inspektora oświaty dr. Józefa B. o przyznanie zapomóg dwudziestu trzem osobom. Dostały dwie. W lutym roku następnego upomniał się o pozostałe dwadzieścia jeden.

Odpowiedź inspektora liczy sobie bitych siedem stron i jest tego wykładnią zasad współpracy między administracją oświatową a Związkiem, gęsto usiana paragrafami. Sprawa zapomóg zostaje wyjaśniona jakby trochę „przy okazji”. Okazuje się otóż, że istniały dwie listy zapomogobiorców.

Na drugiej figurowała żona inspektora, Maria B., który to m. in. fakt spowodował zwrot tej listy prezesowi. Zwrot z uzasadnieniem: „...Jeśli wyraziłbym zgodę na wypłacenie tych zapomóg — pisze inspektor B. do prezesa L. — każdy pracownik oświaty mógłby wyrazić przypuszczenie, że domagałem się, by żona inspektora i prezes otrzymali zapomogę z funduszu socjalnego. A tak przecież nie jest. (...) Proszę Zarząd Oddziału, by ponownie dokonał weryfikacji zapomóg, bowiem na liście nr 1 i nr 2 znajdują się osoby o bardzo różnicowanej sytuacji materialnej. (...) Przedstawiona mi lista zawiera 23 osoby, z których kilka ostatnich dopisanych jest piśmem ręcznym. Pragnąłbym sprawdzić, czy zapisy protokołu Zarządu Oddziału zgodne są z listą osób którą podpisał kol. prezes Zarządu Oddziału”

To ostatnie stwierdzenie inspektora ubodło prezesa najmocniej. Tym bardziej, że dr B. nie czekając na odpowiedź nadał sprawie szeroki rozgłos, rozsyłając pismo do wszystkich ogniw ZNP w mieście i gminie. Prezes natychmiast więc sporządził własne oświadczenie. Szczegółowo wyjaśnił, jak doszło do dopisania odręcznie kilku osób, a także dlaczego na liście znalazła się żona inspektora: „...w tym czasie pracownicy LO zgłosili, że kol. Maria B. choruje i dwukrotnie przebywała w szpitalu więc należałoby o niej nie zapomnieć. (...) Nie przewidziałem, że to stanie się kłopotliwą niezgodą. (...) Wszelkie zmiany w tej materii były konsultowane i uzgodnione z członkami prezydium zarządu i żadnej samowoli nie uprawiałem”. Słowa prezesa zarząd w pełni potwierdził w uchwale z kwietnia 1986 r.

Przez rok, poza nie wartymi wzmianki potyczkami, trwał względny spokój. Powodem kolejnego, poważnego konfliktu i zapisania stosu urzędowego papieru staje się... wycieczka do Warszawy, a raczej sposób jej rozliczenia.

W kwietniu 1987 r. inspektor dr B. wystąpił do Zarządu Oddziału i Komisji Rewizyjnej ZNP z „...prośbą o wspólne dokonanie rozliczenia kosztów wycieczki zorganizowanej przez ZNP, ze względu na wprowadzenie rygorów i przestrzeganie ustaleń prawnych i regulaminu zakładowego funduszu socjalnego.” Wymienił też przy okazji wszystkie drezczące go w tej sprawie niejasności.

Pierwszą był fakt, że łączny koszt wycieczki według rachunku „Orbisu” obliczony został na 45 osób, a lista uczestników zawierała jedynie 44 nazwiska. Zabrakło jednej osoby i 9 288 zł.

Niejasność druga wynikała z prostego mnożenia i odejmowania. Inspektor przemnożył wycieczkowiczów przez jednostkowy koszt wyprawy, od tego odjął kwotę wpłaconą przez prezesa (organizatora) do kasy ZBAS. Zabrakło tym razem 32 360 zł.

Zwrócił się też do prezesa o „formalne wystąpienie refundacji (styl oryginalny)”, bowiem brał udział w wycieczce jako pracownik urzędu MiG. Dodatkowych niejasności dostarczył fakt uczestniczenia w wycieczce do stolicy nauczycielek przedszkola zakładowego Zakładu Rolnego, a także

zamiany na listach. W miejsce uwidoczonych w spisie pracowników oświaty pojechał ktoś, co prawda rodzinnie do niej zbliżony np. mąż, córka i siostrzenica, ale to jednak nie to. Powstało więc zasadne pytanie — kto ma refundować im koszty pobytu, czy regulamin ZFS pozwala na takie zamiany, a także czy osoba „zastąpiona” na liście, ma prawo do korzystania w tymże sezonie z innych dotacji funduszu?

Wszystko to — zaznaczył inspektor — wymaga szczegółowego kolektywnego wyjaśnienia. W okresie szukania oszczędności wydatkowanie pieniędzy ZFS wymaga dużej rozważliwości i udokumentowanych rozliczeń. Mimo iż zastrzegł że jest to jedyny powód jego dociekliwości, a kontrola finansowa Urzędu Wojewódzkiego może te sprawy ujawnić, prezes odczytał to jako jawne posądzenie go o malwersację. I poczuł się osobiście dotknięty.

Tym bardziej że inspektor dr B. znów nie czekał na „kolektywne wyjaśnienie”, lecz sam po pracy przeszedł się do domów ludzi uwidoczonych na listach z pytaniem, czy wiedzieli i zgodzili się na umieszczenie na swoich nazwiskach. Zaś pismo do Zarządu Oddziału ZNP dał do przeczytania

# JAK PREZES Z INSPEKTOREM

I vice versa. Układ wręcz modelowo negatywny. Mimo deklaracji dobrej woli z obu stron i prób mediacji przez tzw. siły niezależne. Konflikt racji czy ambicji?

paru osobom. Sprawa zaczęła być publiczną tajemnicą.

Każda akcja wywołuje reakcję, pisemne oświadczenia złożyli wszyscy na wycieczce „zastąpieni”, stwierdzając zgodnie, że wiedzieli i zgodzili się, by zamiast nich pojechał ktoś inny. Zebrali się też w trybie pilnym Zarząd Oddziału i Komisja Rewizyjna ZNP.

Komisja stwierdza, że brak wpłaty od jednej osoby dotyczy kierownika wycieczki Ryszarda L. (prezesa), co prawda Zarząd Oddziału proponuje zwolnienie go od opłat jednakże zgodnie z regulaminem ZFS każdy uczestnik musi pokryć koszty utrzymania. Kierownik również zobowiązany jest do odpłatności, którą Związek może mu zwrócić z funduszu nagród. Komisja przyznała też, że brały udział osoby nie uprawnione do korzystania z dotacji ZFS. Wniósł więc wobec tego, by zarząd oddziału współuczestniczył w opracowaniu planu wydatkowania funduszu socjalnego, przy organizowaniu przez Związek imprez turystycznych, których koszt ma być pokrywany z ZFS zlecenia oraz kalkulacje wystawiał i zatwierdzał dysponent funduszu. Zwrócono się też o refundację poniesionych kosztów do jednostek, z których pochodzili wycieczkowicze.

Prezes z kolei wyjaśnia, że: „zgłaszał pracownikom referatu oświaty, iż odpłatność pracowników przedszkola Zakładu Rolnego w K. została przekazana w wysokości 26 tys. zł na konto bankowe zarządu lecz suma ta będzie przekazana na konto funduszu socjalnego w późniejszym terminie, ponieważ obecnie na koncie zarządu nie posiada dostatecznej kwoty, czego nikt z zainteresowanych tą sprawą nie kwestionował”.

Czując się pomówiony, nie pozostaje inspektorowi dłużny. Padają ciężkie słowa: „...O ile czyni się komus zarzut i stawia się konkretną osobę pod pręgierzem przestępstwa i malwersacji finansowej z powodu nierozliczenia społecznych pieniędzy, bo rzekomo dotychczas nie wpłynęły do kasy funduszu socjalnego, to Urząd wziął na siebie dużą odpowiedzialność prawną, także moralną i służbową”.

Zarząd Oddziału ZNP też nie pozostawił na inspektora suchej

nitki za zastosowaną metodę załatwienia sprawy: „...osobiste dotarczenie urzędowym pism adresem podrywa autorytet nie tylko urzędnika państwowego sprawującego naczelną funkcję w aparacie władzy oświatowej, lecz całej społeczności oświatowej na terenie miasta i gminy załatwiania spraw służbowych w mieszkaniach prywatnych lub w swoim własnym, w dodatku w godzinach pozasłużbowych, wysyłanie do zarządu pism o treści nepastylowej, szkalującej dobre imię innych, podrywającej autorytet członków zarządu, bez uzasadnienia i sprawdzenia stanu faktycznego”.

Sprawa na wzajemnej korespondencji bynajmniej się nie kończy. Staje się także tematem wspólnego posiedzenia władz związkowych, politycznych i administracyjnych miasta.

Chodzi „o odwołanie pomówienia na piśmie, skierowanym do wszystkich podległych jednostek oświatowo-wychowawczych”. Cel zapewne spalił na panewce, bowiem prezes sprawę tę umieszcza jako jeden z wielu przykładów negatywnych przy okazji oceny realizacji zasad współdziałania organów administracji państwowej z ZNP. Te inne to np. przydział mieszkań służbowych nie

zawsze za wiedzą i zgodą ZNP, brak czasu na wspólne w zarządzie opiniowanie wniosków o odznaczenia i wyróżnienia, dostarczane są bowiem najczęściej w dniu, w którym muszą się już znaleźć w kuratorium, itd. itd...

Właśnie sprawa mieszkania przechyla kielich gorczyczy prezesa. Skłania go do poszukiwania sprawiedliwości wyżej.

Otóż lokal w budynku szkolnym w P. otrzymuje nauczyciel bez kwalifikacji pedagogicznych z sześciomiesięcznym stażem pracy. Prezes zaś uważa, że powinna go otrzymać nauczycielka przedszkola z dziewięcioletnim stażem i trójką dzieci, mieszkająca w skandalicznych warunkach u rodziców.

Podobnego zdania, co prezes, jest komisja mieszkaniowa. Konkretnie pierwsza komisja, która 9 lutego br. postanawia mieszkanie to przyznać właśnie nauczycielce przedszkola, by już 23 lutego na drugim posiedzeniu dokładnie zmienić zdanie. Co tu „zagrało” — zastanawia się prezes — przecież nie przydatność biologa bez kwalifikacji, bo ten przedmiot miałby akurat kto wykładać...

Poszukiwanie sprawiedliwości piętro wyżej, czyli w kuratorium niewiele dało. Co prawda do miasta zjechała specjalna komisja, by na miejscu, bezpośrednio z oboma zainteresowanymi wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Mediacji podjęli się kierownik kadru kuratorium i sekretarz okręgu ZNP.

Jak łatwo można przewidzieć nie nie wskórał. Utwierdził się jedynie w przekonaniu, że winne są obie strony „nie przejawiające dążeń do konstruktywnej współpracy, ani do rozwiązywania w sposób nieantagonistyczny konfliktów narastających i nawarstwiających się od kilku lat. Zwrócili się do obu stron o dobrą wolę, podjętą troską o oświatę, i pojechali”.

Prezesa takie pojednawcze stanowisko nie zadowoliło. Dalej usiłuje dociec, na czym właściwie polega jego „błędne postępowanie”. Pisze kolejne pisma. Odpowiedź z góry brak...

HALINA DRACHAL

# SZCZĘŚCIE DO LUDZI

Mieszkanie przy ul. Wileńskiej w Warszawie pełne jest wspomnień. Na ścianach portrety i fotografie sąsiadują z nastrojowymi pejzażami. To rodzinne pamiątki i utrwalone na płótnie, ślady miejsc, zapiskanych w pamięci i życiorysie autora.

Gospodarz, Kolega **MARIAN CICHY**, chętnie przywołuje wspomnienia. Z ogromnym sentymentem, a także swoistym dystansem i humorem opowiada o swojej drodze życiowej, o ludziach z którymi się zetknął, o sprawach — wielkich i małych — w których uczestniczył.

Kolega Marian Cichy ukończył 85 lat. W tym roku obchodzi także 65-lecie rozpoczęcia pracy nauczycielskiej i działalności związkowej. Z tej okazji, 31 października, złożył Jubilatowi wizytę prezes ZG ZNP Kazimierz Piłat wraz z przewodniczącą Krajowej Sekcji Emerytów i Rencistów Aldoną Czubyńską oraz Lucyną Banaszekiewicz z Wydziału Organizacyjnego ZG ZNP.

Bogate, barwne i niełatwe było życie Mariana Cichego. Urodzony w niezamożnej nauczycielskiej rodzinie zdobywał wykształcenie z ogromnym samozaparciem. W wieku lat 16 — wojenny epizod: jako ochotnik zgłasza się do wojska i bierze udział w wojnie 1920 roku. Są w tym epizodzie momenty dramatyczne: bitwa pod Mławą, niewola, ucieczki, wymykanie się śmierci.

Pierwsze nauczycielskie kroki stawiał na wsi kurpiowskiej. Z dumą wspomina, że wysłał go do tej pracy prezes Związku z przykazaniem, że nie wolno mu zagubić się na wsi, że tę wieś musi swą pracą podnieść na wyższy poziom. Był więc od pierwszych dni nauczycielem-społecznikiem. Uczył dzieci i organizował życie społeczne i kulturalne wsi. Od początku też działał w Związku, był współorganizatorem Oddziału Powiatowego ZPNP w Kolnie.

Potem wyższy kurs nauczycielski — od 1932 roku — praca w warszawskiej szkole przy ul. Wileńskiej. Szkołą tą kierował do wybuchu wojny. Cały ten czas działał w ZNP, był członkiem PPS, brał udział w wydawaniu pisma dla młodzieży robotniczej „Czyn”.

Okres okupacji hitlerowskiej to praca w Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. Lekcje i wykłady uniwersyteckie odbywają się również w gmachu przy Wileńskiej. Jako żołnierz AK uczestniczył w działal-

ności zbrojnego podziemia. Okupacyjna rzeczywistość, konieczność utrzymania rodziny zmusza go do chwytania się różnych zajęć. Wśród innych zawodów i pasją stało się wówczas fotografowanie. Kolega Cichy jest autorem wielu fotografii z okupowanej Warszawy o historycznej wartości.

Po wyzwoleniu nadal praca w oświacie i dla oświaty: w Muzeum Pedagogicznym, potem w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych na stanowisku kierownika redakcji pomocy naukowych.

Wreszcie emerytura, zasłużona, ale nie traktowana jako stan spoczynku. Kolega Cichy jest wciąż aktywny. Angażuje się w działalność w środowisku, pracuje w Sekcji Emerytów ZNP. Poza tym tworzy: rysuje, maluje i pisze. Przenosi na papier swe wspomnienia; wylania się z nich barwny obraz rzeczywistości sprzed lat, sylwetki ludzi, którzy zaważyli na życiu autora.

Pierwsza książka Mariana Cichego nosi tytuł „Dwie linijki życiorysu”. Jest to opowieść o żołnierskich przygodach w okresie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Kolejna autobiograficzna pozycja o tytule „Nie zapisane w życiorysie” właśnie jest przygotowywana do druku (wydaje LSW). W planach autora znajduje się już zarys następnej książki.

Kolega Cichy twierdzi, że miał nieprawdopodobne szczęście do ludzi. I ci wybitni, których spotykał na swej drodze, i ci zwyczajni — byli mu życzliwi. Mimo woli rodzi się myśl, że może to osobowość Kolegi Cichego wyzwalala w ludziach ową otwartość i życzliwość...

We wszystkich poczynaniach wiernie towarzyszy Koledze jego małżonka Ewa, z domu Smulikowska, córka Juliana. Jej archiwum zawiera pamiątki po ojcu. Ze wspomnień wylania się postać wiceprezesa Związku Nauczycielstwa Polskiego jako człowieka niepospolitego, który kierował się ideą służby społecznej i dewizą: „nie wolno korzystać z idei”. Córka z goryczą mówi o krzywdzie, jaką wyrządzono pamięci Juliana Smulikowskiego, usuwając po wojnie jego imię z tabliczek przy ulicy, gdzie mieszczą się gmachy Związku, wznoszone na początku lat 30-ych. Ze wzruszeniem przyjmuje informacje, że wielu członków ZNP upomina się o przywrócenie przedwojennej nazwy ulicy.



W domu państwa Cichych trwa pamięć o tradycjach ZNP, istnieje silna więź emocjonalna, a także żywe zainteresowanie bieżącym życiem Związku i uczestnictwo w jego działalności.

Gospodarze są optymistami. Wierzą w

siłę i mądrość Związku. Wierzą, że dla oświaty, dla całego kraju nadejdą lepsze czasy. Oby te nadzieje się ziściły!

Opracowała  
**LUCYNA BANASZKIEWICZ**

Fot. M. Suchecki

KTO O NICH  
PAMIĘTA?

## INSTYTUTY PEDAGOGICZNE ZNP

Istniały w trzech miastach — Warszawie, Katowicach i Wrocławiu. Zakończyły swą działalność już bardzo dawno, bo w 1951 roku. Upięknęło więc od tamtego czasu 38 lat. Dodając do tego wiek kończących studia, łatwo obliczymy, że nawet ci, co już jako ostatni ukończyli studia w Instytutach, mają około siedemdziesiątki albo i dużo więcej. Dlatego jest ich już niewiele.

Potwierdzają to odbywające się co 4 lata zjazdy absolwentów. Przedostatni, w 1984, odbywał się przy wielkiej liczbie uczestników w sali konferencyjnej ZG ZNP przy ul. Spasowskiego, a ostatni, w 1983 roku już w małej sali z niewielką ilością absolwentów. Co więcej, z wybranych do Zarządu Centralnego Koła Absolwentów w okresie tylko jednego roku, śmierć zabrała dwóch członków.

W tej sytuacji zaczęły budzić się poważne wątpliwości w sens dalszego istnienia Centralnego Koła Absolwentów Instytutów Pedagogicznych ZNP. Dla podjęcia ostatecznej decyzji w tej sprawie została zorganizowana przez Wydział Pedagogiczny ZG ZNP narada na której zdecydowano, że dopóki żyją ostatni absolwenci Instytutów, niech nadal istnieje ich Koło. Kierowano się przy tym nie tyle względami koleżeńskimi, zdając sobie sprawę z trudności utrzymywania ściślejszych więzi między ludźmi mieszkającymi w różnych miejscowościach naszego kraju, już w bardzo podeszłym wieku, często chorymi, co potrzebą zachowania w świadomości współczesnych i przyszłych członków naszego Związku jednej z najpiękniejszych tradycji działalności ZNP, jakim było dokształcanie i kształcenie nauczycieli.

Takie właśnie stanowisko zajęła też koleżanka Lidia Brzezińska kier. Wydziału Pedagogicznego ZG ZNP, obiecując pomoc i opiekę nad formami działalności Koła.

**Czym były Instytuty Pedagogiczne ZNP?**

Były uczelniami zorganizowanymi i finansowanymi przez ZNP, w których czynili nauczyciele i pracownicy oświaty poprzez ustalone formy kształcenia otrzymywali dyplom studiów wyższych z prawem nauczania w szkołach średnich. Tak dyplom upoważniał, czyli dawał kwalifikację do nauczania dwóch przedmiotów.

Początkowo zgodnie z nazwą, w pierwszym etapie działalności Instytutów, głównym kierunkiem studiów była pedagogika, dopiero później kształceniem objęto i inne przedmioty występujące w programach szkół średnich.

Instytuty Pedagogiczne ZNP rozpoczęły działalność przy końcu dwudziestolecia

międzywojennego, jako wyższa forma dokształcania nauczycieli i podnoszenia ich kwalifikacji.

Niższą formą kształcenia prowadzoną przez ZNP były Wyższe Kursy Nauczycielskie, określone skrótem WKN. Dyplom ukończenia takiego WKN upoważniał do specjalnego dodatku finansowego, wypłacanego nauczycielom szkół powszechnych (tak nazywały się dzisiejsze szkoły podstawowe). Był to poważny awans materialny, biorąc pod uwagę stabilną wartość naszej złotówki przedwojennej.

Natomiast dyplom Instytutu jako forma ukończenia studiów wyższych dawał podstawę również do zmniejszonego wymiaru godzin pracy. Nauczyciele przed wojną, po ukończeniu seminarium, a po wojnie liceum pedagogicznego, obowiązani byli pracować 36 godzin tygodniowo, w szkołach średnich natomiast tylko 21 lub 23 godziny, w zależności od przedmiotu.

Należałoby przy tym przypomnieć, że kiedyś zdobycie wykształcenia było wyłącznie osobistą sprawą i wiązało się z poważnymi kosztami. Dotyczyło to też nauczycieli, w kształcenie których nie angażowały się zbytnio władze oświatowe, nie mogąc zapewnić zatrudnienia wszystkim. Wprowadzono nawet roczną bezpłatną praktykę nauczycielską i dopiero po niej uzyskiwało się pierwszeństwo w zatrudnieniu.

Funkcje 'opiekunów nad kształceniem nauczycieli nie sprawowało państwo, tak jak obecnie, a Związek Nauczycielstwa Polskiego. Stąd wielkie uznanie dla jego działalności w zakresie pomocy i organizacji form podwyższania kwalifikacji nauczycieli. Wiąże się ono z szacunkiem dla prekursorów inicjatywy edukacji permanentnej, czyli kształcenia ustawicznego, aktualnie realizowanego w krajach wysoko rozwiniętych, gdzie dyplomy po kilku latach się dezaktualizują, wobec szybkiego rozwoju nauki oraz techniki i zachodzi potrzeba stałego dokształcania.

Taki właśnie system dokształcania i aktualizacji wiedzy zapoczątkował jeszcze przed wojną ZNP. Dysponując dużym kapitałem, pochodzącym z wysokich składek swoich członków, poza materialną pomocą koleżeńską, budową i utrzymaniem sanatoriów i domówczasowych, przeznaczał wysokie sumy na dokształcanie nauczycieli.

Trzeba zauważyć, że wracamy i obecnie, na razie nieśmiało do podobnego systemu oświatowego, polegającego na tym, że o bok szkół państwowych zaczynają pojawiać się prywatne placówki oświatowo-

wychowawcze, organizowane i utrzymywane przez różne organizacje. W krajach zachodnich takie kształcenie, ze względu na wysoki poziom, cieszy się nawet większym uznaniem od państwowego.

Może też dlatego z form kształcenia prowadzonych przez ZNP korzystały osoby najbardziej przedsiębiorcze, aktywne i wytrwałe. Nawet podczas wojny i okupacji w obozach jenieckich niektórzy nauczyciele kontynuowali studia, uwieńczone zdobyciem dyplomu po wyzwoleniu, w zorganizowanym dla nich obozowym Instytucie Pedagogicznym ZNP.

Studia nie były łatwe wobec wysokich wymagań kadry profesorskiej. Składała się ona z najlepszych wykładowców różnych wyższych uczelni Warszawy, Łodzi i Wrocławia. Atutem w ich pozyskaniu były nie tylko względy placowe, co możliwości odpoczynku z własną rodziną w miejscowościach wypoczynkowych, gdzie odbywały się sesje letnie i zimowe. Przy tym dyrekcja Instytutu wykorzystywała przydział czasowy dla słuchaczy, żeby zmniejszyć finansowo koszty kształcenia.

Najpoważniejszymi ośrodkami zajęć była Warszawa, Spała, a przede wszystkim w okresie letnim Gdańsk-Oliwa.

Na uczestnictwo w sesjach zimowych trzeba było mieć urlop z Ministerstwa Oświaty. Urlopy również uzyskiwało się na sesje egzaminacyjne i pisanie pracy dyplomowej.

Przygotowując się do całkowitego przejęcia dokształcania nauczycieli w swoją wyłączną kompetencję, Ministerstwo Oświaty traktowało działalność Instytutów eksperymentalnie. Najwięcej materiału doświadczenia dostarczyło istnienie przedmiotowego i zarazem ostatniego Instytutu Pedagogicznego ZNP w latach 1947—1951. Naczelnym dyrektorem był prof. Stefan Baley, a administracyjnym mgr Jan Starościak.

Kształceniem objęto najważniejsze przedmioty szkół średnich według podziału na sekcje. Studia trwały przez 10 semestrów. Dyplom upoważniał do nauczania w szkołach średnich dwóch przedmiotów zgodnie z nazwą sekcji, np. polonistyczno-historycznej, czy matematyczno-fizycznej. Najmniej przydatne okazały się studia na sekcji pedagogicznej, gdyż w tamtym okresie usunięto wszystkie dzieła i teorie naszych pedagogów i psychologów, zastępując ich obowiązującą wyłącznie radziecką pedagogiką Kairova.

Z dyplomem otrzymywano się nakaz pracy, którą należało niezwłocznie podjąć, co w tamtym czasie z powodu braku kadr oświatowych z wyższym wykształceniem, było całkowicie uzasadnione.

Nie poprzestali jednak absolwenci Instytutów na tego rodzaju studiach. Kontynuowali je na uniwersytetach, zdobywając tytuły naukowe, nawet najwyższe, łączenie z profesorem. Inni natomiast pełnili funkcje kierownicze w placówkach oświatowo-wychowawczych i w administracji szkolnej. Dziś już pewnie wszyscy są na emeryturze i nawet może nie mają stałego kontaktu z „Głosem Nauczycielskim”. I dobrze byłoby, gdyby środowiskowa administracja szkolna i działacze ZNP przypomnieli sobie o nich, nawet dostarczając ten numer „Głosu” z zawartymi dla nich wiadomościami o dalszym istnieniu Centralnego Koła Absolwentów i siedzibie, gdzie można wysłać korespondencję: Związek Nauczycielstwa Polskiego Zarząd Główny, Wydział Pedagogiczny, ul. Spasowskiego 6/8, skrytka pocztowa 900, 00-950 Warszawa.

Aktualny skład Zarządu przedstawia się następująco: Marian Rawa — prezes, Eugeniusz Religa — wiceprezes, Jerzy Lipkowski — sekretarz, Emilia Zglerska — skarbnik. Będzie on kontynuował dobrą tradycję poprzednich Zarządów, którym przewodniczyli: mgr Władysława Gańko, doc. dr hab. Jan Wiktor, mgr Leokadia Malinowa.

Obecny Zarząd Koła, po śmierci przewodniczącej koleżanki L. Malinowej, która swoją funkcję pełniła nawet nie przez cały rok, będzie prowadził dalszą działalność pod bezpośrednią opieką Wydziału Pedagogicznego i prezesów ZG ZNP. Będzie ona występowała w takich formach, które pozwolą na dalsze, możliwe w obecnej sytuacji, podtrzymywanie więzi koleżeńskich absolwentów i pamięci o Instytutach.

Najbliższe zebranie Zarządu Koła przewidziane jest na 15 grudnia 1989 roku, w celu zgromadzenia i uporządkowania dokumentacji, rozproszonej obecnie w mieszkaniach prywatnych, żeby ją kiedyś przekazać do archiwum ZNP.

**MARIAN RAWA**  
prezes Koła Absolwentów

# PYTAJ! NA TEJ STRONIE ZNAJDZIESZ ODPOWIEDŹ

REDAGUJE TERESA KONARSKA

## REMANENTY '89

gorączka legislacyjna trwa. Także w 1989 r. powstało wiele nowych przepisów, inne zostały znowelizowane. Staraliśmy się przedstawić te, które mogą zainteresować nauczycieli a także nauczycielki-matki, nigdy bowiem nie zapominamy, że gros

naszych Czytelników to Panie. Oczywiście nie jesteśmy w stanie przedstawić przepisów szerzej, dokonujemy więc pewnego wyboru.

W tym numerze przedstawiamy dwie sprawy, o które Państwo pytacie.

## DLA WYCHOWUJĄCYCH DZIECI CHORO

## WCZEŚNIEJSZE EMERYTURY

Matka opiekująca się dzieckiem, które ze względu na stan zdrowia wymaga stałej opieki oraz pielęgnacji — niezależnie od wieku dziecka — ma prawo do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

Umożliwia jej to rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie wcześniejszych emerytur, które weszło w życie z mocą wsteczną od 1 stycznia 1989 r.

Aby uzyskać tę wcześniejszą emeryturę muszą być spełnione łącznie dwa warunki: okres zatrudnienia oraz stan zdrowia dziecka.

Matka musi się legitymować co najmniej 20-letnim okresem zatrudnienia.

Nie chodzi tu jednak tylko o sam czas wykonywania jej faktycznie, lecz także o okresy równorzędne i zaliczalne, o których mówią między innymi przepisy emerytalne.

Na przykład urlop wychowawczy jest właśnie okresem równorzędnym. Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów w sprawie urlopów wychowawczych, urlop wychowawczy w wymiarze nie przekraczającym sześciu lat wli-

cza się do wymaganego dwudziestoletniego okresu zatrudnienia. Dotyczy to zresztą nie tylko kobiet korzystających z urlopów wychowawczych, ale również i tych, które wcześniej (do 8 czerwca 1968 r.) korzystały z ówczesnych urlopów bezpłatnych na wychowanie dziecka oraz tych matek (lub innych osób), które korzystały z urlopów bezpłatnych od 8 czerwca 1968 r. do dnia wejścia w życie przepisów o urlopach wychowawczych (jeśli w myśl tych przepisów przysługiwało im prawo do urlopu wychowawczego).

Zgodnie z ustawą emerytalną wlicza się do owych 20 lat zatrudnienia przerwy w pracy — nie dłuższe niż 6 lat — spowodowane koniecznością osobistej opieki nad dziećmi, którym przysługują zasiłki pielęgnacyjne ze względu na ich stan fizyczny, psychiczny lub psychofizyczny. Są to tzw. okresy zaliczalne.

Prawo do wcześniejszej emerytury przysługuje matce sprawującej osobistą opiekę nad dzieckiem, które:

— zostało zaliczone do II grupy inwalidów, bez względu na przyczynę inwalidztwa;

— zostało zaliczone do II grupy inwalidów z powodu jednego ze stanów chorobowych (o czym niżej), a inwalidztwo dziecka istnieje od urodzenia albo powstało przed ukończeniem 18 roku życia.

Do wspomnianych wyżej stanów chorobowych zalicza się:

— całkowitą dysfunkcję kończyn górnych lub dolnych, niedowład oraz porażenia uniemożliwiające samodzielne poruszanie się i kontrolowanie czynności fizjologicznych;

— umiarkowane, znaczne i głębokie upośledzenie umysłowe, choroby psychiczne, uszkodzenie lub choroba centralnego układu nerwowego uniemożliwiająca samodzielność w decyzjach lub czynnościach życia codziennego;

— lekkie upośledzenie umysłowe z towarzyszącymi kalectwami znacznego stopnia w zakresie narządów ruchu, wzroku, słuchu lub innymi przewlekłymi stanami chorobowymi bardzo poważnie upośledzającymi sprawność organizmu;

— inne choroby upośledzające w bardzo poważnym stopniu sprawność organizmu.

Prawo do wcześniejszej emerytury przysługuje bez względu na wiek dziecka. Wiek ten ma znaczenie w jednym przypadku. Otóż, jeśli dziecko nie ukończyło 16 roku życia, nie wymaga się orzeczenia o inwalidztwie, lecz tylko stwierdzenia przez poradnię specjalistyczną (oddział sprawujący opiekę medyczną), że ze względu na stan zdrowia wymaga ono stałej opieki.

Prawo do wcześniejszej emerytury przysługuje nie tylko matce ale także ojcu, wówczas jeśli matka nie żyje albo nie jest możliwie sprawowanie przez nią osobistej opieki nad dzieckiem, a także w razie pozbawienia matki władzy rodzicielskiej.

Warunki dla ojca są identyczne, z jednym tylko wyjątkiem. Wymagany okres zatrudnienia dla mężczyzn wynosi 25 lat.

Poza matką i ojcem z wcześniejszej emerytury, może jeszcze skorzystać osoba, która przejęła dziecko na wychowanie w ramach rodziny zastępczej albo została ustanowiona jego prawnym opiekunem i je wychowuje. Od niej wymagany jest ten sam staż pracy.

Kierownik zakładu pracy może podać do wiadomości załogi fakt ukarania pracownika naganą, jeżeli uzna to za wskazane ze względów wychowawczych lub dla umocnienia porządku i dyscypliny pracy.

Przy stosowaniu kary bierze się pod uwagę w szczególności rodzaj naruszenia obowiązków pracowniczych, stopień winy pracownika i jego dotychczasowy stosunek do pracy.

Kierownik zakładu pracy może odstąpić od kary, jeżeli uzna za wystarczające zastosowanie wobec pracownika innych środków oddziaływania wychowawczego.

Pracownik może w ciągu 3 dni od dnia zawiadomienia go o ukaraniu wnieść sprzeciw. O uwzględnieniu lub odrzuceniu sprzeciwu decyduje kierownik zakładu pracy w porozumieniu z zakładową organizacją związkową. Nieodrzućenie sprzeciwu w ciągu 14 dni od daty wniesienia jest równoznaczne z jego uwzględnieniem.

Karę uważa się za niebyłą i wzmiankę o niej wykreśla się w aktach zakładu pracy, a odpis zawiadomienia o ukaraniu usuwa się z akt osobowych pracownika, po roku nienaganej pracy.

Kierownik zakładu pracy, biorąc pod uwagę osiągnięcia w pracy i nienagane zachowanie się pracownika po ukaraniu, może w terminie wcześniejszym — z własnej inicjatywy lub na wniosek zakładowej organizacji związkowej — uznać karę za niebyłą.

## ABC

### OKRESY WYPOWIEDZENIA

#### Nauczyciele mianowani

mogą wypowiedzieć umowę na piśmie na 3 miesiące przed rozpoczęciem ferii letnich. A więc okres wypowiedzenia uzależniony jest od okresu zatrudnienia. Z tym że rozwiązanie stosunku pracy z nauczycielem na jego wniosek następuje z dniem 31 sierpnia.

W szkołach, w których zajęcia trwają cały rok kalendarzowy, stosunek pracy może być rozwiązany w każdym czasie za uprzednim trzymiesięcznym wypowiedzeniem.

#### Nauczyciele kontraktowi

czyli zatrudnieni na czas nieokreślony mogą rozwiązać umowę za trzymiesięcznym wypowiedzeniem, także z końcem roku szkolnego. W szkołach i innych placówkach nieferyjnych umowa może być rozwiązana w każdym czasie ale też za trzymiesięcznym wypowiedzeniem.

#### Pracownicy obsługi

Okres wypowiedzenia jest uzależniony od czasu pracy i wynosi: 2 tygodnie — jeśli pracownik był zatrudniony przez okres krótszy niż 1 rok,

1 miesiąc — jeżeli pracownik był zatrudniony co najmniej 1 rok,

3 miesiące — jeśli pracownik był zatrudniony co najmniej 10 lat.

Okres wypowiedzenia w przypadku pracowników zatrudnionych co najmniej rok kończy się ostatniego dnia miesiąca.

W przypadku krótszego zatrudnienia okres wypowiedzenia kończy się w sobotę.

## ROZLICZENIE TAK, JAK ZA DELEGACJĘ

## RYCZAŁTY DLA STUDIOWYCH

Podobnie jak zainteresowanym, trudno mi pojąć, dlaczego księgowi nie chcą nadal — mimo iż przepisy ich do tego obligują — rozliczać ryczałtów za wyżywienie i zakwaterowanie według tych samych zasad, co delegacje służbowe.

Natomiast faktem jest, że dzwonią do nas w tej sprawie czytelnicy we „wtorki” i proszą o interwencję. I tu z przykrością muszę przypomnieć Państwu, że mimo największych chęci nie jesteśmy w stanie interweniować w sprawach indywidualnych. Sądźmy jednak, że gdy udacie się ze stosowną informacją opublikowaną na tej stronie — księgowi ulegną!

Przypominamy więc raz jeszcze zasady rozliczania ryczałtów zawartych w zarządzeniu ministra edukacji narodowej z 28 lipca 1989 — Mon. Pol. nr 27.

Wszystkim odbywającym studia przysługuje zwrot kosztów przejazdu na obowiązkowe zajęcia i egzaminy na zasadach stosowanych przy podróżach służbowych na obszarze kraju.

Zwrot kosztów przejazdu następuje na podstawie przedstawionego przez nauczyciela zaświadczenia o uczestnictwie w

obowiązkowych zajęciach w szkole.

Mają także prawo do bezpłatnego zakwaterowania i wyżywienia w czasie obowiązkowych sesji zaocznych oraz ryczałtu na pokrycie kosztów odpłatnego zakwaterowania i wyżywienia w czasie obowiązkowych konsultacji.

Wysokość ryczałtu na wyżywienie ustala się w wysokości diety obliczonej według zasad obowiązujących w zakresie podróży służbowych na obszarze kraju, jeżeli konsultacja odbywa się w innej miejscowości niż miejsce zamieszkania lub pracy nauczyciela, a ryczałtu na zakwaterowanie — w wysokości ryczałtu należnego pracownikowi, który w czasie podróży służbowej odbywanej na obszarze kraju nie korzystał z noclegu w służbowym pokoju gościnnym lub nie przedstawił rachunku z kwatery prywatnej bądź z hotelu.

Nauczycielom, którym w czasie obowiązkowych konsultacji zapewniono odpłatne zakwaterowanie w służbowym pokoju gościnnym (w domu studenckim, internacie szkolnym itp.), przysługuje zwrot kosztów zakwaterowania na podstawie przedstawionego rachunku.

## LISTY

### ODEJŚCIE NA EMERYTURĘ A NAGRODA JUBILEUSZOWA

Pierwszego lipca 1990 r. ukończyłbym 35 lat pracy ale 1 stycznia odchodzę na emeryturę. Czy będę miała prawo do nagrody jubileuszowej i kiedy mogę ją otrzymać? (Barbara C. — Warszawa)

W razie rozwiązania stosunku pracy w związku z przejściem na emeryturę (albo rentę inwalidzką związaną z wypadkiem przy pracy lub chorobą zawodową, albo rentą I i II stopnia przyznaną z innych przyczyn) — pracownikowi przysługuje nagroda jubileuszowa jeżeli do nabycia prawa do nagrody brakuje mu mniej niż 12 miesięcy. Licząc od dnia rozwiązania stosunku pracy.

Nagrody te wypłaca się w dniu rozwiązania stosunku pracy.

(podstawa prawna: par. 10 uchwały nr 138 Rady Ministrów — Mon. Pol. nr 35)

### ROZWIĄZANIE UMOWY W CZASIE CIĄŻY

Umowa zawarta na czas określony kończy się 31 stycznia, ale można ją rozwiązać umową o pracę. (Dyrektor B.C.)

W przypadku zawarcia umowy na czas określony (lub na czas wykonania określonej pracy) umowę należy przedłużyć do czasu porodu w tym przypadku gdy rozwiązanie umowy przypadłoby po upływie trzeciego miesiąca ciąży.

Przy okazji przypominam, że zakład pracy nie może wypowiedzieć ani rozwiązać umowy o pracę w okresie ciąży, a także w okresie urlopu macierzyńskiego, chyba że zachodzą przyczyny uzasadniające rozwiązanie umowy bez wypowiedzenia z winy pracownika i zakładowa organizacja związkowa wyrazi zgodę na jej rozwiązanie.

## ZMIANY W KODEKSIE PRACY

## KARY PORZĄDKOWE

Zaszyły tu niewielkie zmiany ale ponieważ w listach ciągle Państwo wracacie do tej problematyki — przypomnijmy najistotniejsze postanowienia Kodeksu pracy dotyczące kar za naruszenie porządku i dyscypliny pracy.

Przepisom tym podlegają wszyscy nauczyciele: mianowani i kontraktowi.

Za nieprzestrzeżenie przez pracownika uspołecznionego zakładu pracy ustalonego porządku i dyscypliny pracy, regulaminu pracy, przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy oraz przepisów przeciwpożarowych, stosuje się: karę upomnienia, karę nagany.

Za uchybienie przez pracownika przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy lub przepisów przeciwpożarowych, opuszczenie pracy bez usprawiedliwienia, stawienie się do pracy w stanie nietrzeźwości lub spożywanie alkoholu w czasie pracy — stosuje się również karę pieniężną.

Kara pieniężna za jedno przekroczenie, jak i za każdy dzień nieusprawiedliwionej nieobec-

ności, nie może być wyższa od jednodniowego wynagrodzenia pracownika, a łącznie kary pieniężne nie mogą przewyższać dziesiętej części wynagrodzenia przypadającego pracownikowi do wypłaty, po dokonaniu potrąceń.

Wpływ z kar pieniężnych przeznacza się na cele socjalne zakładu pracy.

Kara nie może być zastosowana po upływie 2 tygodni od powzięcia wiadomości o naruszeniu obowiązku pracowniczego i po upływie 3 miesięcy od dopuszczenia się tego naruszenia.

Kara może być zastosowana tylko po uprzednim wysłuchaniu pracownika.

Jeżeli z powodu nieobecności w zakładzie pracy pracownik nie może być wysłuchany, bieg dwutygodniowego terminu nie rozpoczyna się, a rozpoczęty ulega zawieszeniu do dnia stawienia się pracownika do pracy.

Karę stosuje kierownik zakładu pracy i zawiadamia o tym pracownika na piśmie. Odpis pisma składa się do akt osobowych pracownika.



Fot. B. Mazur

## MOJA PROPOZYCJA

# CO SŁYCHAĆ W SZKOLNEJ FOTOGRAFII

Dobiega końca rok 1989 — rok 150-lecia fotografii. Z powodu ważnych wydarzeń politycznych, urynkwienia, inflacji i jej następstw, ta ważna rocznica umknęła nieco opinii publicznej. Co prawda w warszawskim Muzeum Techniki można jeszcze oglądać wystawę „Jak się dawniej fotografowało”, a w Galerii Kordegarda zaprezentowano przegląd tematów wiodących w fotografii, ale prasa oświatowa milczy na ten temat.

Jak się jednak okazuje nauczyciele i uczniowie mają swój wkład w uczenie 150 rocznicę powstania fotografii.

Akcję rozpoczął Wydział Pedagogiczny ZG ZNP ogłaszając w marcu 1988 roku konkurs fotograficzny dla pracowników oświaty „Dziecko w obiektywie nauczyciela”. Szkoda, że ogłoszenie ukazało się tylko w „Głosie Nauczycielskim”. Tym tłumaczy mniejsze zainteresowanie konkursem, bo wiem z własnego doświadczenia, że młodzi pedagodzy nie zawsze zaglądają do naszego tygodnika. Gdyby informacje przesłano do dwumiesięcznika „FOTO” sformacja przedstawiałaby się na pewno lepiej.

Na konkurs wpłynęło kilkadziesiąt fotografii od 29 nauczycieli. Wyniki ogłoszono jesienią 1988 roku, a laureatów zaproszono na wakacyjny plener w Starachowicach. O plenerze pisał „Głos Nauczycielski” w nr 37 z 10 września br.

Teraz przejął inicjatywę Marek Tomczyński, instruktor fotografii w starachowickim Klubie Nauczycieli, zdobywca jednej z nagród w konkursie. Korzystając z adresów nauczycieli, którzy przestali pracować do Wydziału Pedagogicznego ZG ZNP, ogłosił konkurs dla uczniów, przysyłając informacje bezpośrednio do pedagogów parających się fotografią. Konkurs, a właściwie przegląd pod hasłem „Mróz na oknie” zgromadził kilkadziesiąt zdjęć z trzydziestu pracowników z całej Polski.

Jednak aura sprawiła młodym fotografom psikus. Zima 1988/89 była tak łaska, że nie starczyło czasu na fotografowanie oszronionych szyb. Okoliczności wymogły więc tematykę dowolną. Uwagę jury zwróciły prace uczniów z Wodzisławia Śląskiego i Kozienic.

Pierwsza od lat ogólnopolska prezentacja fotografii uczniowskiej była eksponowana w bieżącym roku w galerii „Na piętrze” w gmachu Zarządu Głównego ZNP w Warszawie, w Starachowicach, Gnieźnie i na Śląsku. Organizator przesłał do wszystkich szkół biorących udział w przeglądzie starannie wydane katalogi, dyplomy dla uczniów i instruktorów.

Marek Tomczyński nie poprzestaje na tym. W czerwcu br. w porozumieniu ze starachowickim Wydziałem Oświaty podejmuje próbę zorganizowania uczniowskich warsztatów fotograficznych w zakresie obróbki barwnych przeźroczy. Szkoda, że mimo rozesłanych już do kilkunastu pracowników związkowych i oświatowym, nauczycielom i pracownikom oświaty.

Po „Mrozie” Marek Tomczyński ogłasza następny przegląd szkolnej fotografii pod hasłem „Pajęczyna”. Jestem gorącym zwolennikiem takiej fotograficznej konfrontacji uczniów, ale czy tematy przeglądów („Mróz na oknie”, „Pajęczyna”) nie są zbyt ambitne? Instruktorzy prowadzący zajęcia w szkołach podstawowych mają niejednokrotnie trudności w nauczaniu wychowanków fotograficznego aże, a uczniowie najczęściej kierują obiektyw na rodzinę, kolegów, zwierzęta, krajobraz.

Mimo tych mankamentów nie ulega wątpliwości, że Marek Tomczyński wyciągnął szkolną fotografię z uśpienia, pokazał że i „prowincja” może być inicjatorem ogólnopolskich imprez. W roku 150-lecia fotografii pragnąłby zorganizować Forum Nauczycieli Fotografujących, a na zapowiadany Kongres Polskich Fotografików (organizowanym przez Związek Polskich Artystów Fotografików) pragnie odczytać petycję do ministra edukacji narodowej w sprawie szkolnych pracowni fotograficznych.

Panie Marku, a może by tak zorganizować kolejny (trzeci) przegląd fotografii uczniowskiej pod hasłem „Nauczyciel w obiektywie ucznia”?

BOGDAN MAZUR  
Kozienice

## GRA O BUŁAWĘ

Związek Nauczycielstwa Polskiego, Zarząd Główny w Warszawie i Zarząd Okręgu oraz Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku wspólnie z Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku ogłaszają

### III Konkurs Poetycki o Buławę Hetmańską

Może w nim wziąć udział każdy twórca, który nadesłanie opatrzone godłem zestaw pięciu nie drukowanych nigdzie

## „LOGOSTOUR” ZAPRASZA

Biuro Podróży i Turystyki ZNP „Logostour” zaprasza na atrakcyjne wyjazdy narciarskie w I kwartale 1990 r. do Bułgarii i Czechosłowacji.

Szczegółowych informacji udzielają oddziały i agencje „Logostouru” na terenie całego kraju.

## KALENDARZ NAUCZYCIELSKI ZNP — 1990

Informujemy członków i ogólniwa ZNP, pracowników oświaty oraz wszystkich zainteresowanych, że ukazał się kolejny KALENDARZ NAUCZYCIELSKI ZNP na 1990 rok. Jak zawsze zawiera on materiały i informacje, mające służyć pomocą działaczom związkowym i oświatowym, nauczycielom i pracownikom oświaty.

● Kalendarz przynosi informacje organizacyjne, dotyczące Zarządu Głównego i zarządów okręgów ZNP oraz agend związkowych (filii Ośrodka Usług Pedagogicznych i Socjalnych Biura Podróży i Turystyki ZNP „Logostour”, domów wypoczynkowych i sanatoriów ZNP, domów noclegowych).

● Dział związkowy Kalendarza zawiera materiały historyczne, nawiązujące do przypadającej w 1990 roku 85 rocznicy powstania Związku. Obok nich znajdują się publikacje odnoszące się do dnia dzisiejszego, obrazujące stan organizacyjny Związku i problemy jego działalności.

● Tradycyjnie obszerny jest dział prawny. W Kalendarzu umieszczono akty prawne o znaczeniu fundamentalnym: tekst Konstytucji (wraz ze zmianami z 1989 r.) oraz ustalenia „okrągłego stołu”. Ponadto — szeroki zestaw aktów normatywnych regulujących uprawnienia pracownicze i świadczenia emerytalno-rentowe oraz zasady wynagradzania nauczycieli i innych pracowników szkół.

Kalendarz będzie kolportowany za pośrednictwem zarządów ogniw ZNP oraz filii OUPIS. W sprawie zakupu Kalendarza prosimy zwracać się do odpowiednich zarządów okręgów lub oddziałów ZNP.

Cena i egzemplarza — 2400 zł.

Redakcja  
Kalendarza Nauczycielskiego

wierszy w pięciu egzemplarzach maszynopisu. Do wierszy należy dołączyć zaklejoną kopertę z powtórzonym godłem, dokładnym adresem, numerem telefonu, zawodem.

Tematyka utworów dowolna. Termin nadsyłania prac do 25 lutego 1990 r. pod adresem: Związek Nauczycielstwa Polskiego, Zarząd Okręgu, ul. M. C. Skłodowskiej 3, 15-950 Białystok.

Przewidywane są nagrody: Złota, Srebrna, Brązowa Buława Hetmańska. Kwestie nie ujęte w regulaminie rozstrzygać będzie Jury.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi 26-27 maja 1990 roku podczas Nauczycielskich Spotkań Literackich organizowanych w Białymstoku.

Józef Krasuski: HISTORIA WYCHOWANIA. WSIP, Warszawa 1989, s. 260, cena 1800 zł.

### POMOCNICZE

Rugo Steinhaus: KALEJDOSKOP MATEMATYCZNY. WSIP, Warszawa 1989, s. 238, cena 2100 zł.

### HISTORIA

Czesław Madajczyk: DRAMAT KATYŃSKI. KIW, Warszawa 1989, s. 168, cena 1700 zł.

### ROZNE

Bogdan Kucharski: GORZÓW WIELKOPOLSKI I OKOLICE. Przewodnik. SIT, Warszawa 1989, s. 124, cena 1200 zł.

Jerzy Perlek: RAJDY NIEMIECKICH PARCERNITÓW. Wyd. Poznańskie, Poznań 1989, s. 194, cena 750 zł.

Dawid Bronstein: GRA W SZACHY. SAMOCZEK. SIT, Warszawa 1989, s. 204.

Leszek Ludwikowski: SUKIENICE. SIT, Warszawa 1989, s. 32, cena 350 zł.

Janusz Ledwoch: SAMOŁOT MYŚLIWSKI. Hawker Hurricane MK. II-IV. s. 16, cena 400 zł.

Pierre Chauuu: CYWILIZACJA WIEKU OSWIECENIA. PIW, Warszawa 1989, s. 992, cena 6000 zł.

Władysław Kopaliński: SŁOWNIK WYRAZÓW OBcych I ZWROTÓW OBcojęzycznych. WP, Warszawa 1989, s. 576, cena 8500 zł.

Jerzy Józwicki: SŁOWNIK MINIMUM NIEMIECKO-POLSKI, POLSKO-NIEMIECKI. WP, Warszawa 1989, s. 149, cena 600 zł.

## TYGODNIK ZNP ODZNACZONY



KRZYŻEM  
KOMANDORSKIM  
ORDERU  
ODRODZENIA  
POLSKI



ZŁOTA  
ODZNAKA  
ZNP



MEDALEM  
KOMISJI EDUKACJI  
NARODOWEJ



KRZYŻEM  
ZA ZASŁUGI  
DLA ZHP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kier. działu związkowego), Magdalena Grochowska Lidia Jastrzębska (II sekr. red.) Maria Kalliska (sek. red.) Teresa Konarska (kier. działu listów i interwencji) Jerzy Krasiewicz (kier. działu polityki oświatowej), Barbara Kozarska (red. techn.) Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Bybaczek (sekr. redaktora naczelnego), Witold Salański, Wojciech Sierakowski (kier. ds. nauki i szk. wyższego) Henryka Witalewska (kier. ds. ds. kultury i wychowania), Zdzisław Nowak (kier. działu graficznego), Jan Rocki, Marek Suchecki (fotoreporter), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Małgorzata Gościńska, Małgorzata Podnik.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 9/8, 00-388 Warszawa. Telefony: centrala 26-10-11 oraz 26-34-20, 27-66-30.

### WARUNKI PRENUMERATY:

1. Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne.

2. Cena prenumeraty na I kwartał 1990 r. wynosi 2600 zł.

3. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. droższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

4. Wpłaty na prenumeratę przyjmują:

— oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora. Odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny, uzgodniony sposób;

— urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW, a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych Poczta zapewnia dostawę zamówionych egzemplarzy pod wskazany adres pod warunkiem uiszczenia dodatkowej opłaty za każdy doręczany egzemplarz. W I kwartale 1990 r. wynosi to 160 zł od egzemplarza;

— Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-953 Warszawa, konto PBK XIII Oddział W-wa 370044-1195-139-11 — tylko od prenumeratorów zlecających dostawę za granicę.

5. Terminy przyjmowania prenumeraty:

— na kraj — do 20.XI na I kw. roku następnego.

— na zagranicę — do 31.X na I kwartał oraz do 1 dnia każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 23-24-11, wewn.: 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 1000 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższej; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 500 zł; kredytowe; komunikaty — 2000 zł; pracownicy poszukiwani — 2000 zł; nekrologi — 1000 zł; reklamy — 2000 zł za 1 cm kwadratowy.

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: Państwowy Bank Kredytowy — III O/Warszawa, nr rachunku 370615-5223-139-11.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/85.

Nr indeksu 35 923

PI ISSN 0017 1263

Zam. 2350.

A-46.

## OGŁOSZENIA DROBNE

Wytwarzanie tarcz szkolnych, Toruń, Osiedłowa 33. 283

„HALSZKA” Zary, skrytka 13 kojarzy małżeństwa krajowe, zagraniczne. 394

### MATEMATYKA OŚMIOKLASISTY:

#### „ALGEBRA”

— skrypt 66 rozwiązanych zadań egzaminacyjnych

(liceum, technikum) wysyłamy indywidualnie, szkołom, bibliotekom za pobraniem (3 900 zł) Biuro Wydawnictw Opole 1 Maja 10c. K-406

## NOWOŚCI NADESLANE

### LITERATURA PIĘKNA

Sławomir Krzyska: TRZESIEŃ ZIEMI, POZAR I TAJEMNICA. MON, Warszawa 1989, s. 188, cena 1800 zł.

Kazimierz Korkozowicz: POWRÓT CZARNEGO. MON, Warszawa 1989, s. 222, cena 850 zł.

Dominik Karo: SKORPION CZEKA NA MORDERCĘ. MON, Warszawa 1989, s. 236, cena 650 zł.

Adam Molenda: EPITAFIUM DLA KIRKORA. Oповідania. LSW, Warszawa 1989, s. 223, cena 900 zł.

Władysław Terlecki: CIERN I LAUR. WL, Kraków 1989, s. 330, cena 2500 zł.

Gabriela Pauszer-Klonowska: PANI ELIZA. Czytelnik, Warszawa 1989, s. 381, cena 2300 zł.

Moris Simaszko: HU-HA. MON, Warszawa 1989, s. 158, cena 900 zł.

Arkadij Strugacki, Borys Strugacki: FALE TŁUMIA WIATR. Iskry, Warszawa 1989, s. 136, cena 950 zł.

Jan Jakowicz: Z POLESKIEJ KRAINY. MON, Warszawa 1989, s. 178, cena 1800 zł.

### PSYCHOLOGIA I WYCHOWANIE

Maria Przetacznik-Gierowska, Grażyna Makieło-Jarża: PODSTAWY PSYCHOLOGII OGÓLNEJ. WSIP, Warszawa 1989, s. 412, cena 2350 zł.

# ŚWIADECTWA I ŚWIADKOWIE

Z dwóch — trzech tygodni zebrało się trochę lektur, i to przede wszystkim takich, które nazywano kiedyś rozrachunkowymi. Termin ten zanikł. Nie chodzi bowiem ani o sztuczne rozpamiętywanie minionych dramatów, ani o jakiś odwet. Nadarzyła się historyczna sposobność publikowania zapisów, które mogły się nigdy nie ukazać. To niby wszystko. Niemniej piśmiennictwo dokumentujące deportacje, zesłania i śledztwa przypomina dziś wzbity potok, a związany z tym proces wydawniczy miewa cechy działania niepokieśnego, gorączkowego. I każdy, kto czyta, czyni to zachłannie. Może i z podświadomą obawą, że dostęp do prawdy szybko trzeba wykorzystać. Dodajmy też, że pamięć o niemieckich lagrach i holocaustie nigdy nie zostanie przyćmiona odkryciami nowych grobów na Wschodzie ani publikowaną właśnie listą trzech tysięcy rozstrzelanych już po drugiej wojnie.

Polskie rozmowy z historią obejmują, oczywiście, nie tylko strefę zagłady, lecz także te rozdziały życia, które starano się usunąć ze zbiorowej świadomości. W rezultacie czytamy dziś naraz o wszystkim: o dwóch obronach Lwowa i o moskiewskich procesach (ilu?), o Sosnkowskim i Okulickim, o Ravensbrück, Sachsenhausen, Rakowieckiej i Katyniu. Także młodzież spragniona jest tego rodzaju lektur i wymaga od nas jakiegoś przewodnictwa w tej materii.

Sprawa katyńska, jak wiadomo, doczekała się ostatnio w kraju dość licznych, opracowań. Zatrzymam się na jednym tylko, związanym z nią wątku, jeśli tak można powiedzieć — personalnym. Z „Dziejów sprawy Katynia” pióra Jerzego Łojki, niezwykłego już historyka, dowiadujemy się pewnych szczegółów z życia obozowego w Kozielsku. Otóż nasi oficerowie poddawani tam byli dokładnej rejestracji przy-

minającej śledztwo, ale pozbawionej znamion okrucieństwa. Takie długotrwałe prace dokumentacyjne podsycały, jak pisze Łojka, nadzieje jeńców, że chodzi tu o przygotowania do ich ewentualnej wymiany czy przesiedlenia. Przypuszczano nawet, że władze radzieckie zamierzają przekazać cały obóz aliantom, a w najgorszym razie Niemcom. Uważano, że przed tą ostatnią możliwością trzeba się bronić.

Ogólnie rzecz biorąc, jak wynika z pracy Jerzego Łojki, atmosfera w Kozielsku nie była najgorsza i nikt się nie spodziewał losu, jaki jeńcom gotowano. Prace ekip kompletujących teczkę osobowe polskich oficerów nadzorował w Kozielsku „kombrig” (czyli generał) NKWD — Zarubin. Jego osoba — i to jest właśnie tak bardzo zaskakujące — spotkała się z życzliwą raczej oceną we wspomnieniach profesora Stanisława Swianiewicza, więźnia Kozielska, którego zawrócono niemal z samego miejsca kaźni. Zarubin miał być uprzejmy, a nawet wyróżniał się podobno manierami człowieka wyższej kultury. Znał języki zachodnie i zbierał dane personalne tylko od niektórych jeńców, takich, którzy mieli najwyższe kwalifikacje zawodowe lub przeszłość polityczną za sobą. To on mógł swoim zachowaniem budzić nadzieję, że dzień jutrzejszy uwięzionych nie będzie najgorszy.

Na jakiś miesiąc przed „ostatecznym rozwiązaniem” Zarubin znikł. Zastąpił go nieznany z nazwiska pułkownik NKWD „o czerwonej twarzy rzeźnika”. Niemniej Jerzy Łojka jest przekonany, iż nie kto inny, tylko właśnie Zarubin był głównym organizatorem zbrodni. Na jego „rozpoznanie”, na jego ocenie „niebezpieczeństwa”, jakim zagrażała jeńcy Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, oparł swoją decyzję Stalin. Jaką — wiadomo. Łojka zastanawia się też nad dalszymi

losami samego „Kombriga”. Może padł ofiarą kolejnych czystek jako bardzo niewygodny świadek? Może ukrywa się pod przybranym nazwiskiem? Pytania takie mógł autor postawić w roku 1981, bo wtedy właśnie przygotowywał do druku poszerzone wydanie „Dziejów sprawy Katynia” (w drugim obiegu, bo obecna edycja pochodzi z Zakładów Wydawniczych „Versus” w Białymstoku). Tymczasem w dodatku „Życia Warszawy” z 27 października 1989 roku zamieszczono artykuł Cezarego Chlebowskiego pt.: „Po Katyniu kolej na Bologoję i Dergacze”. Z treści tej publikacji wynika, że niektórzy oprawcy, odpowiedzialni za zbrodnię katyńską, żyją i czują się mimo podeszłego wieku dobrze. W ich liczbie jest być może także i Zarubin! Cóż, trzeba przyznać, że taka „osiągalność” osób zbrodniarzy robi wrażenie. Czy będą poddani śledztwu, nie od nas zależy. Ale może któryś z wybitnych polskich publicystów udalby się na miejsce ich pobytu celem przeprowadzenia wywiadów? Czyżby tak swego czasu Krzysztof Kąkolowski z niektórymi przestępcami hitlerowskimi. Powstał z tego pamiętny cykl „Co u pana słychać?”

Inna publikacja, tak bardzo charakterystyczna dla współczesnego ruchu wydawniczego to „Zbrodnia”, zbiór dokumentów sądowych oraz pochodzących z dawnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dotyczą one (przede wszystkim, choć nie tylko) sprawy Fiedorfa. Autorami wyboru i opracowań całości są Stanisław Marata i Jacek Snopkiewicz. Rzecz ukazała się w tym roku nakładem Wydawnictwa „Alfa”.

Generał August Emil Fiedorf, powszechnie dziś znany z licznych wspomnień i artykułów, był w dobie okupacji szefem Kierownictwa Dywersji Komeny Głównej AK. Nosił pseudonim „Nil”. Aresztowano go (po raz drugi po wyzwoleniu) w 1949 roku. Stracony został w więzieniu na Rakowieckiej 24 lutego 1953 roku. Przytoczony w książce Marata i Snopkiewicza wyrok Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy uznaje generała Fiedorfa winnym rzekomego wydawania rozkazów o „likwidacji” partyzantów radzieckich, działaczy PPR, Gwardii i Armii Ludowej. „Oskarżonego Fiedorfa — głosi wyrok — obciąża nie tylko krew przelaną ofiar (tak napisano!), bratobójczych, mordów, a nawet krew ofiar mordowanych przez faszystów niemieckich — gdyż działalnością swą oskarżony utrudniał szybsze wyzwolenie kraju”.

„Dowód winy” stanowiły protokoły zeznań torturowanych świadków. Jeden z nich, odwołując to, co podpisał w areszcie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie, oznajmił, iż przez cztery dni bity był tak, że pod koniec przesłuchania nie wiedział, co się z nim dzieje. Oświadczenie takie mógł jednak złożyć

dopiero podczas rozprawy rewizyjnej w 1957 roku. W jej następstwie umorzono śledztwo w sprawie straconego przed pięć laty generała „wobec braku dowodów winy”. Na stwierdzenie Prokuratora Generalnego, że August Emil Fiedorf „nie popełnił zarzucanego mu czynu”, trzeba było czekać aż do dnia 7 marca 1980 roku. Minęło wtedy 37 lat od daty skazania przez sąd polski jednego z najszlachetniejszych Polaków. Trzeba przy tym wydatnie, że czynili to wszystko właśnie polskie ręce. Zapisane w protokołach nazwiska śledczych i sędziów mają najczęstiej rodzime brzmienie — Gurowska, Malinowski, Szymański. Jest wśród nich nawet... Zygmunt Krasiński.

„Opowiedzcie swój życiorys!” — pada, być może po raz nie wiadomo który, rozkaz śledczy. Poznajemy więc, i to z oficjalnego dokumentu, biografię tego wybitnego oficera od chwili jego wstąpienia do Krakowskiego Związku Strzeleckiego w 1912 roku. Potem? No cóż, same „zbrodnie”... Udział w walkach legionowych, w wojnie polsko-radzieckiej, służba w wojsku na różnych stanowiskach dowódczych. Czytamy o jego walce we Wrześniu i przedostaniu się do polskich oddziałów na Zachodzie. Był potem Fiedorf pierwszym wysłannikiem generała Sikorskiego do kraju. Tam został bliskim współpracownikiem Grotu. Na jego rozkaz tworzył Komendę Dywersji, czyli jak to sam określił: „nowe oddziały do walki z Niemcami dla odciążenia frontu wschodniego...”. Wszystko to kwalifikowało się do wymierzenia kary przewidzianej dla „faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy oraz zdrajców Narodu Polskiego”.

Samą postać generała „Nila” przybliżył artykuł Marii Fiedorf i Leszka Zachuty z 10. numeru „Tygodnika Powszechnego” z tego roku. „Wizytacja i proces generała „Nila”. Znajdziemy tam między innymi obszernie wspomnienia jednego ze współwięźniów. Fiedorf „zachowywał absolutny spokój, zawsze pogodny, uśmiechnięty, życzliwy, opiekuńczy. Szczególnie dla młodych więźniów”. Dożył kilku z nich z własnej „wypiski”, traktował ich po ojcowsku.

Autorzy artykułu opisują ostatnie chęba widzenie generała z żoną, Janiną. Był już po wyroku. „Pamiętaj, abyś nie prosiła ich o łaskę, zabraniam tego” — ostrzegali. W tym wypadku pani Janina Fiedorf nie była posłuszna mężowi. W książce Marata i Snopkiewicza znajdziemy jej rozpaczliwą prośbę o maskawienie, skierowaną do Bolesława Bieruta. Trud był daremny.

A przecież kilka miesięcy przedtem pisał generał z więzienia na Rakowieckiej w serdecznym liście do 81-letniego ojca, że wszystko się wkrótce wyjaśni, że sam „czuje się dobrze i jest najlepszym przykładem”. Obiecywał, że niedługo razem pojedą „na rybki”.

## POLEGAMY INFORMUJEMY



W wielu kinach można jeszcze obejrzeć „Ostatni dzwonek” Magdaleny Lazarkiewicz.

### ADAM CHMIEŁOWSKI NA SCENIE

Bardzo niedawno oglądaliśmy w telewizji transmisję z uroczystości kanonizacji Adama Chmielowskiego, teraz możemy spotkać się z tą niezwykłą postacią na malej scenie Teatru Narodowego, czyli w Teatrze Małym przy ulicy Marszałkowskiej. Oto Krystyna Skuszanka przygotowała premierę „Brata naszego Boga” Karola Wojtyły, poświęconą właśnie Bratu Albertowi, którego życie od bardzo dawna fascynowało papieża.

Urodzony w 1845 roku, jako 17-letni student Szkoły Rolniczej w Puławach uczestniczył w powstaniu styczniowym; wrócił z niego kaleką. Nie zalał się jednak. Z wytrwałością i uporem szuka sensu swego życia w sztuce i twórczości artystycznej. Z czasem jednak porzuca malarstwo i całkowicie poświęca się innym — wybiera franciszkańską służbę ludziom, którzy materialnie i moralnie znaleźli się „na dnie”.

Postać zmarłego w 1916 roku Brata Alberta, który pomagał ludziom dźwigać się, odzyskiwać ludzką godność i podmiotowość, którego całe życie było nastawione

na pomoc tym, którzy jej najbardziej potrzebowali, staje się nam dziś szczególnie bliska. Nieprzypadkowo więc Krystyna Skuszanka sięgnęła właśnie teraz po dramat „Brat naszego Boga”. Ukazuje on bardzo bogaty psychologicznie obraz człowieka, starcie idei. Podstawowym zagadnieniem tego niełatwego, napisanego wedle reguł rapsodycznej poetyki teatralnej, moralno-filozoficznego dramatu, jest próba przeniknięcia człowieka, jego miejsca w procesie dziejowym, jego wolności i możliwości realizowania wybieranych wartości.

W roli Brata Alberta, który w finale powie: „wybrałem większą wolność”, występuje Krzysztof Chamiec.

### „FELIX” DLA MACIEJA DEJCZERA

Kto jeszcze nie widział filmu Macieja Dejczerza „300 mil do nieba”, powinien jak najszybciej pójść do kina. Nie można bowiem przegapić tego utworu. I nie tylko dlatego, że zdobył on dla Polski niezwykle cenną nagrodę — europejskiego „Felix’a” (w kategorii „Młodej kinematografii”), głównie ze względu na niezwykle bolesny i aktualny problem, jaki podejmuje. W jednym z wywiadów bardzo młody reżyser, który tym właśnie filmem debiutował, powiedział m. in.: „Uważam za przerażający fakt, iż po 81 roku wyjechało z Polski ponad milion osób. Za każdą taką decyzją kryła się jakaś tragedia (...) Pomyśleliśmy z autorem scenariusza, Czarkiem Harasimowiczem, że jest strasznie, skoro już nawet dzieci z tego kraju uciekają. Jednocześnie nie staraliśmy się stosować tanich chwytów. Można było na przykład w kilku scenach wycisnąć z widzów łzy, a nie zrobiliśmy tego. Wprowadziliśmy natomiast chłopców w inny, nieznany świat włączając, że zachowania ludzi w obcym dla nich środowisku zawsze widzów zaciękwiają”.

### FESTIWAL LUTOSŁAWSKIEGO

W listopadzie odbył się w Rotterdamie festiwal muzyki naszego wybitnego kompozytora — Witolda Lutosławskiego, nazwanego kiedyś przez prasę amerykańską „Beethovenem XX wieku”. Na przeglądzie tym zaprezentowano holenderskim melomanom dorobek ponad pięćdziesięcioletniej twórczości kompozytorskiej artysty. Od „Wariacji symfonicznych” z 1938 roku po koncert fortepianowy z 1988 roku. Były również utwory kameralne, preludia, fugi oraz pieśni i koledy.

Witold Lutosławski (który studiował kiedyś matematykę!) zapytany o funkcję,

jaką dziś wyznaczyłby muzyce, odpowiedział: „Taka jak zawsze (...) Ona się nie zmienia od ostatnich stu lat. Na przełomie XVII i XVIII wieku muzyka przestała być dworska i kościelna, zmieniła się bowiem jej rola w życiu społecznym. Wiek XXI wprowadził instytucję koncertu publicznego. Haydn był jeszcze dworakiem, nosił liberie i jadał ze służbą, ale Beethoven już nie. Dzisiaj natomiast media bardzo odmiennie rolę muzyki, przez co stała się ona codzienna”.

Wprost w Rotterdamie Witold Lutosławski udał się do Londynu, aby odebrać honorowe członkostwo Royal College of Music, któremu patronuje brytyjska Królowa Matka.

### DROGA W NIEZNANE

...Taki właśnie tytuł nosi książka Malgorzaty Malickiej, która ukazała się nakładem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych w serii „Sztuka — kultura — wychowanie”. Zjawisko twórczości, będące przejawem i wyrazem szczytowych możliwości człowieka, intrugowało pedagogów od dawna. Głębsze i bardziej systematyczne zainteresowanie wychowawczym aspektem procesów twórczych rozpoczyna się wraz z Ruchem Nowego Wychowania i wiąże zwłaszcza z nazwiskiem Johna Deweya, następnie zaś z Nowoczesną Szkołą Francuską Techniki Freineta oraz z postaciami takich pedagogów, jak: Herbert Read, Victor Lovenfeld, Carl Orff, Bogdan Suchodolski.

Autorka książki spogląda na problematykę twórczości raz jeszcze niemal od samego początku, sięgając do samych jej korzeni. Odwołuje się do wiedzy nagromadzonej, porządkuje ją, wydobywa związki między twórczością a wychowaniem, ważne szczególnie dla naszych czasów. Interesuje się zwłaszcza zdolnościami, sprawnościami czy też po prostu pewnymi właściwościami, które decydują o tym, że ktoś chce i potrafi widzieć i działać w sposób twórczy.

Książka Malgorzaty Malickiej — podobnie jak każda pozycja z serii „Sztuka — kultura — wychowanie” zawiera też fragmenty tekstów wybitnych autorów uwzględniających w swej twórczości najróżniejsze aspekty tej problematyki. Są tu m. in. fragmenty prac: Władysława Tatar-kiewicza, Ericha Fromma, Abrahama H. Masłowa, Kazimierza Dąbrowskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Witolda Gombrowicza, Henriego Bergsona, Stefana Szmana, Edgara Fauréa, Celestyna Freineta.

- TEATR
- FILM
- PLASTYKA
- MUZYKA
- KSIĄŻKA